



CZEŚĆ I CHWAŁA OBRONCOM OJCZYZNY!

W środku
plakat!

POLSKA W BROJNIE

Warszawa, 1 września 2019

80.

rocznica wybuchu
II WOJNY
ŚWIATOWEJ



WRZESIEŃ '39 CZAS PRÓBY

Postrzelana przez Niemców tablica na Westerplatte. Na zdjęciu muzealna grupa historyczna im. II Batalionu 18 PP, prowadzona od 1998 r. w Sochaczewie przez Jakuba Wójciewę.

Oficjalnie miała to być kurtuazyjna wizyta, ale Polacy nie mieli wątpliwości, że to tylko pozory. Usiłowali zablokować wejście jednostki do portu. Bez skutku. 25 sierpnia 1939 roku do Gdańska zawinął „Schleswig-Holstein”.

Kieliszek szampana przy akompaniamencie drwiących uśmiezków smarkatych oficerków. To była najtrudniejsza chwila w moim życiu – notował w dzienniku Marian Chodacki, komisarz generalny Rzeczypospolitej w Gdańsku. Pod koniec sierpnia 1939 roku znalazł się w gronie kilku osób zaproszonych na pokład niemieckiego pancernika „Schleswig-Holstein”, który stał w porcie. Dowódca okrętu zaprosił także Szwajcara Carla Burckhardta, wysokiego komisarza Ligi Narodów w Wolnym Mieście Gdańsku. Tego wymagał dyplomatyczny protokół.

Gra pozorów jeszcze trwała, choć Niemcy podchodzili do niej z coraz większą nonszalancją. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że wojna wybuchnie lada dzień. Pozostało tylko pytanie – kiedy?

Okręt idzie do ataku

Początkowo do Gdańska miał zostać skierowany lekki krążownik „Königsberg”. Hitler zmienił jednak decyzję. „Ostatecznie Niemcy wysłali lepiej uzbrojony pancernik „Schleswig-Holstein”. Chodziło przede wszystkim o efekt propagandowy i psychologiczny”, podkreśla historyk Aleksander Ostasz, dyrektor Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu. „Okręt dysponował potężnymi działami kalibru 280 milimetrów. Salwa z takiej broni powodowała olbrzymi hałas, mnóstwo dymu, uderzenie pocisku mogło spowodować olbrzymie straty. Niemieckie dowództwo zakładało, że wyrwie to na obrońcach Westerplatte tak wielkie wrażenie, że poddadzą placówkę zaraz po zakończeniu ostrzału”.

„Schleswig-Holstein” nie był jednostką nową. Został zwodowany w 1906 roku w obecności cesarza Wilhelma II. Do służby trafił dwa lata później. Za jego budowę i wyposażenie niemiecka marynarka zapłaciła 25 milionów marek. Okręt miał 128 metrów długości, ponad 22 metry szerokości i zanurzenie obliczone na 8,2 metra. Jego załogę stanowiło przeszło ośmiuset marynarzy.

Podczas wojny światowej pancernik wziął udział w bitwie jutlandzkiej i został poważnie uszkodzony. Przez kilka następnych lat cumował w Wilhelmshaven i Kilonii, gdzie pełnił rolę okrętu mieszkalnego. Do służby wrócił w 1926 roku i niedługo potem przeszedł generalny remont. Przez kolejne dziewięć lat był jednostką flagową niemieckiej floty. Brał udział w wielu ćwiczeniach na północnym Atlantyku, był także wykorzystywany jako lodołamacz na Bałtyku. W połowie lat trzydziestych wydawało się, że okres jego świetności mija. Okręt wykorzystywano do szkolenia kadetów.

Dokończenie na następnej stronie

Dokończenie ze strony 1

Przemierzał morza i oceany, zawijał do portów w Ameryce Południowej i Afryce. Wkrótce okazało się, że wysłużony pancernik raz jeszcze wysunie się na czoło niemieckiej marynarki.

Komandor mówi: „nie”

1 lipca 1939 roku dowódcą okrętu został komandor Gustav Kleikamp. To właśnie on miał odpowiadać za atak na polską składnicę tranzytową na Westerplatte, faktycznie więc rozpocząć kolejną wielką wojnę. 18 sierpnia „Schleswig-Holstein” opuścił Kilonię. W zatoce Strand pobrał ogromne zapasy amunicji, na chwilę zawinął do Świnoujścia, wreszcie skierował się do Gdańska. 24 sierpnia na wysokości Ustki spotkał się z niemieckimi trałowcami i przyjął na pokład kompanię szturmową Kriegsmarine. Następnego dnia pancernik pojawił się na redzie gdańskiego portu. I tu natknął się na niespodziewaną przeszkodę.

Komandorem pilotów, którzy odpowiadali za wprowadzanie jednostek do portu, był wówczas Tadeusz Ziółkowski.

Dokładnie obejrzał jednostkę i doszedł do wniosku, że coś jest nie tak. Przede wszystkim Niemcy zapowiadali, że w Gdańsku pojawi się zupełnie inny okręt. Po drugie, wszystko, co zastał na pokładzie pancernika, wskazywało, że jednostka jest przygotowana do przeprowadzenia desantu i ataku. Ziółkowski uznał więc, że wprowadzenie „Schleswiga” do portu pogwałci międzynarodowe przepisy. Powiedział zatem: „nie” i... został przez Niemców aresztowany. Co prawda nie na długo, ale te kilka godzin wystarczyło, by pracę, której nie chciał się podjąć, wykonał jego niemiecki zastępca. Sam Ziółkowski nie cieszył się wolnością zbyt długo. 1 września Niemcy ponownie go aresztowali, a potem osadzili w obozie koncentracyjnym w Stutthofie. Został zamordowany w 1940 roku.

Tymczasem „Schleswig-Holstein” przy aplauzie niemieckich mieszkańców Gdańska zacumował w okolicach Nowego Portu. Po południu 25 sierpnia komandor Kleikamp otrzymał rozkaz: „Ostrzał ma się rozpocząć najajutrz o 4.30”. Wkrótce Berlin się z niego wycofał. Hitler zawałał

się, bo doszła do niego wieść o podpisaniu wojkowego porozumienia między Polską a Wielką Brytanią. W dodatku Mussolini ostrzegł go, że nie będzie w stanie wystawić do wojny całej włoskiej armii. Załoga zamiast walczyć wzięła udział w uroczystościach upamiętniających marynarzy z „Magdeburga”, którzy zginęli w 1914 roku. 31 sierpnia rozkaz ataku został wydany ponownie. Polska składnica miała zostać zaatakowana 1 września o godzinie 4.45.

Krótko przed tym terminem „Schleswig-Holstein” ruszył w stronę Zakrętu Pięciu Gwizdków. W okrętowym dzienniku o godzinie 4.43 rano zanotował: „Okręt idzie do ataku na Westerplatte”...

Trzy śmierci pancernika

„Ostrzał składnicy nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Zresztą część pocisków przeleciała nad półwyspem i spadła do morza. Polscy żołnierze przetrwali pierwsze uderzenie, a potem bronili się jeszcze przez tydzień”, przypomina Aleksander Ostasz. Sam „Schleswig-Holstein” w pierwszych dniach wojny na cel brał nie tylko Wester-

platte. Pociski wystrzelone z ponad dwudziestu dział, kalibru od dwudziestu do 280 milimetrów, spadły także na Gdynię, Kępę Oksywską i Półwysep Helski. W trakcie zmagania okręt został trafiony przez baterię cypłową stojącą w pobliżu Helu. Uszkodzenia nie okazały się jednak poważne. Wiosną 1940 roku pancernik wziął udział w inwazji na Danię, a potem... wrócił do starej roli. W latach 1941–1944 cumował w Gdyni jako okręt szkolny, mieszkalny, jednostka obrony przeciwlotniczej. Tu dojechał schyłku III Rzeszy.

„Schleswig-Holstein” tonął trzy razy”, opowiada Ostasz. W grudniu 1944 spadły na niego bomby podczas alianckiego nalotu. Okręt oparł się rufą o dno portowego kanału. Wczesną wiosną 1945 roku zatopili go uciekający z Gdyni Niemcy. Na tym jednak jego historia się nie zakończyła. „Rok później Rosjanie podnieśli go z dna i przeholowali w pobliże Estonii. Tam przez dwie dekady był wykorzystywany podczas ćwiczeń jako okręt-cel”, wyjaśnia Ostasz. Po raz trzeci poszedł na dno w 1966 roku. ■

Łukasz Zaleski

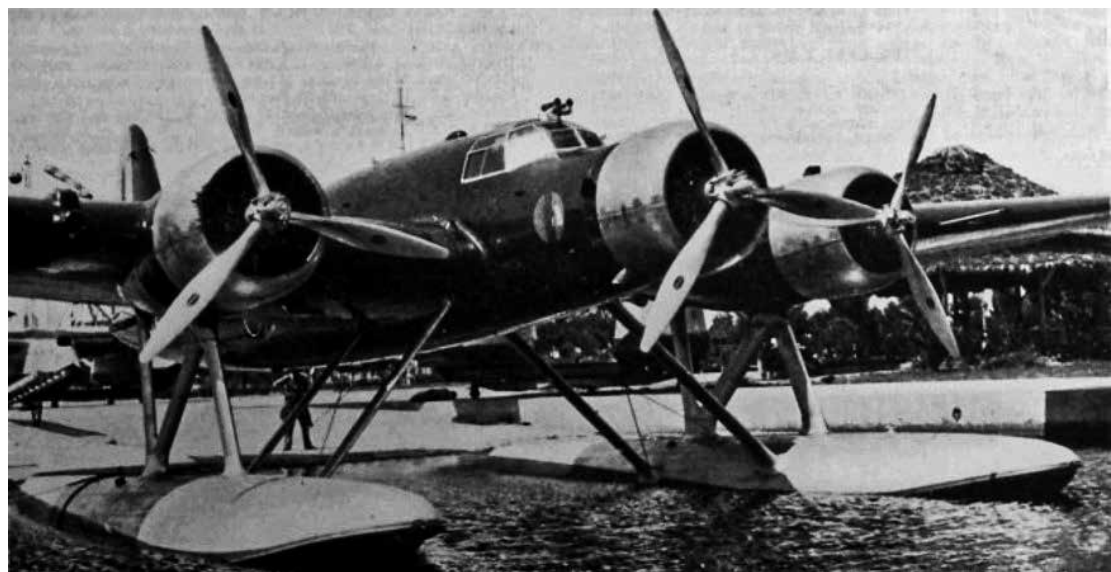
Podcięte skrzydła

Ogromną dysproporcję sił, zwłaszcza w lotnictwie, polskie władze wojskowe próbowały choć częściowo zniwelować przez zakupy zagraniczne.

Polacy w dużej mierze byli przekonani o nieuchronnym wybuchu wojny, przy czym przeważały nastroje optymistyczne. Nierzadkie były głosy, że kilka tygodni od rozpoczęcia konfliktu nasi żołnierze będą defilować w Berlinie. Nieliczni tylko zdawali sobie sprawę z beznadziejności położenia. Polski potencjał obronny w porównaniu z niemieckim był „tak nikły, że trzeba uznać Polskę jako niezdolną do samodzielnej wojny z Niemcami”, napisał jeszcze przed wybuchem wojny gen. Tadeusz Kutrzeba. Mimo przygotowań do obrony w całym kraju uroczystości obchodzono 25-lecie wyjazdu strzelców Józefa Piłsudskiego na

wojnę o niepodległą Polskę. Szczególnie okazałe uroczystości odbyły się 6 sierpnia w Krakowie, skąd ćwierć wieku wcześniej wyruszyła Pierwsza Kompania Kadrowa. Ogromną dysproporcję sił, zwłaszcza w lotnictwie, polskie władze wojskowe próbowały choć częściowo zniwelować przez zakupy zagraniczne.

Niestety, sprzymierzone Francja i Anglia nie miały wiele do zaoferowania, bo same nie dysponowały odpowiednim sprzętem. Z postulowanych przez stronę polską 150 nowoczesnych angielskich samolotów myśliwskich i 150 lekkich samolotów bombowych udało się pozyskać jedynie 15 myśliwców i 100 lekkich bom-



Wodnosamolot bombowo-torpedowy CANT Z.506

bowców, sami bowiem Anglicy nie mieli tylu maszyn. Pierwszy transport na pokładzie brytyjskiego statku, zawierający m.in. 14 hurricane'ów, jeden spitfire i siedem lekkich bombowców Fairey Battle miał wypłynąć z Liverpoolu 19 sierpnia, by po trzech dniach zawinąć do Gdyni. Niestety, z powodu sezonu urlopowego wypłynął 22 sierpnia. To opóźnienie przesądziło o losie rejsu, bowiem już nazajutrz, po zawarciu paktu Ribbentrop-Mołotow, admiralica brytyjska uznała Bałtyk za niebezpieczny. Statek został na Morzu Północnym zawrócony i skierowany okrężną drogą do rumuńskiej Konstancy nad Morzem Czarnym, skąd dopiero sprzęt miał być dostarczony do Polski. Nigdy tu nie dotarł.

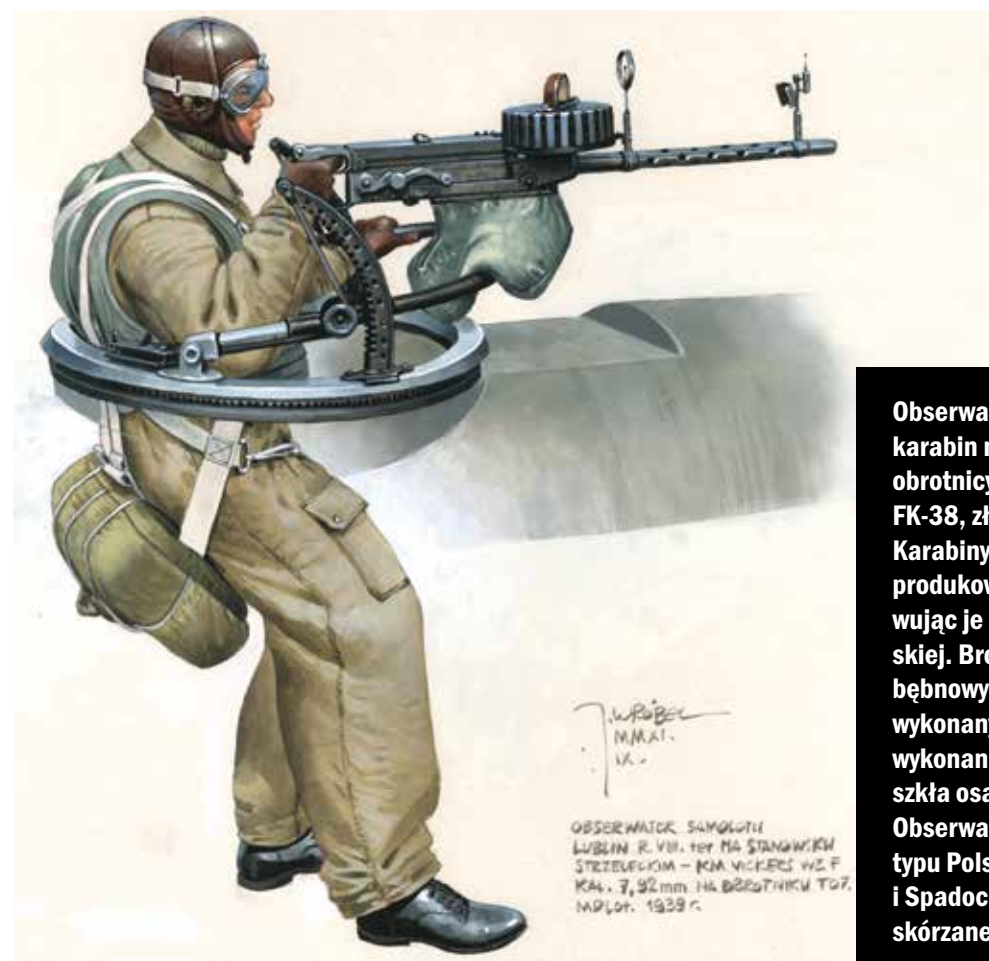
W ostatniej dekadzie sierpnia udało się też zrealizować zakup 40 francuskich my-

śliwców, które miały być wysłane do Polski niemal natychmiast. Attaché lotniczy przy Ambasadzie RP w Paryżu ppłk pil. Franciszek Piniński depešował: „Dnia 29–30 VIII odchodzi do Gdyni 20 samolotów Morane z częściami zapasowymi i amunicją”. I ten zamiar, z powodu szybkiego upadku Polski, nie został zrealizowany. Z kolei 27 sierpnia wodował w Pucku pierwszy z sześciu zamówionych we Włoszech dla Morskiego Dywizjonu Lotniczego nowoczesnych wodnosamolotów bombowo-torpedowych CANT Z.506. Niestety, do 1 września nie dotarły na Wybrzeże zamówione lotnicze torpedy.

Wszystkie dostawy były spóźnione. Nawet gdyby pierwszy angielski transport trafił do Polski na czas, to liczba dostarczonych samolotów nie miałaby żadnego wpływu na przebieg kampanii polskiej 1939 roku. Mimo to szkoda, że nasi lotnicy nie mieli szansy zmierzyć się z Niemcami na tych wspaniałych płatach nad polskim niebem. A jak potrafili je wykorzystać, pokazali rok później podczas bitwy o Anglię.

Tymczasem rankiem 1 września 1939 roku nastąpił definitywnie fin de siècle. ■

Jerzy Kirsza,
historyk, doktor nauk humanistycznych,
pracownik Instytutu Pamięi Narodowej
i Wojskowego Biura Historycznego
im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego



Obserwator samolotu Lublin R. VIII obsługujący karabin maszynowy Vickers F kal. 7,92 x 57 mm na obrotnicy T07, używający przyrządu celowniczego FK-38, złożonego z przeziernika i muszki wiatrowej. Karabiny te, zamówione przez Wojsko Polskie, wyprodukowano w Wielkiej Brytanii fabrycznie dostosowując je do używanej w Polsce amunicji mauserowskiej. Broń zasilano z 95-nabojowych magazynków bębnowych. Obserwator w kombinezonie lotniczym wykonanym z materiału lnianego. Na głowie pilotka wykonana ze skóry. Okulary lotnicze wykonane ze szkła osadzonego w aluminiowych ramkach. Obserwator wyposażony jest w spadochron plecowy typu Polski Irvin produkowany w Wytwórni Balonów i Spadochronów w Legionowie. Na rękach rękawice skórzane na futrze.

Oddajmy cześć Bohaterom!



Andrzej Duda

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ZWIERZCHNIK SIŁ ZBROJNYCH

Szanowni Państwo!

Osiemdziesiąt lat temu wybuchła najkrwawsza wojna w historii ludzkości. Polska pamięć o tym strasliwym wydarzeniu jest pamięcią bolesną, lecz także dumną. Staliśmy się pierwszą ofiarą napaści hitlerowskich Niemiec, bo jako pierwsi nie ustąpiliśmy przed agresywnym totalitaryzmem. Polski żołnierz od początku do końca wojny walczył w szeregach sił wolnego świata, „za wolność naszą i waszą”. Doświadczaliśmy ogromnych ofiar i zniszczeń, ale biało-czerwona flaga – symbol naszej nieugiętości – powiewa dziś zwycięsko.

Mamy szczególne prawo przypominać o potwornościach wojny i apelować do społeczności międzynarodowej, aby czujnie zapobiegała wojennym zagrożeniom. Oznacza to sprzeciw wobec każdego

zła godzącego w ład międzynarodowy. Musimy zawsze pamiętać, że jedyną drogą do zapewnienia pokoju jest stanowcza obrona uniwersalnych wartości.

Dramatyczna lekcja historii jest także pouczająca dla nas samych. Gdy mówimy: „nigdy więcej wojny”, oznacza to również: nigdy więcej osamotnienia, słabości, nieprzygotowania wobec wyzwań. Dlatego współczesna Polska należy do NATO, potężnego sojuszu obronnego.

Także dlatego z determinacją umacniamy własne zdolności obronne. Silna, nowoczesna i dobrze wyposażona armia, strzegąca suwerenności Rzeczypospolitej, stanowi nieodłączny składnik polskiej racji stanu. Jestem przekonany, że doskonale rozumieją to Czytelnicy „Polski Zbrojnej”.

Życzę Państwu inspirujących refleksji podczas lektury i serdecznie Państwa pozdrawiam.



Mateusz Morawiecki

PREZES RADY MINISTRÓW

Niektóre daty są zbyt ważne, by znajdowały się wyłącznie w kalendarzach. Powinny zajmować miejsce przede wszystkim w naszej pamięci. Taką datą jest 1 września 1939 roku. Dzień, w którym wraz z inwazją hitlerowskich Niemiec na Polskę rozpoczął się strasliwy okres w dziejach ludzkości – II wojna światowa.

1 września to był dopiero początek tragedii. Zaledwie szesnaście dni później od wschodu uderzył Związek Sowiecki, dopełniając nieludzkiego planu niszczenia państwa polskiego. Wojna pogłężyła nas w otchłani. Odebrała życie ponad 6 milionom pol-

skich obywateli, obróciła kraj w ruinę. Wśród popiołów walkę o wolność podjęły zastępy dzielnych kobiet i mężczyzn.

Dziś, już w silnej i niepodległej Polsce, wspominamy ich imiona. Czcimy pamięć tych, którzy pozostawili nam w spadku wielki skarb – niepodległą i wolną ojczyznę. To w niej pragnęli żyć i wychowywać kolejne pokolenia dumnych Polaków. Dlatego stajemy do apelu. Od nas zależy czy pamięć o poległych znajdzie miejsce w naszych sercach czy tylko na kartach historii.



Mariusz Błaszczak

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

1 września to data, która dla naszego Narodu ma szczególnie wymiar. 80 lat temu od napaści na Polskę rozpoczęła się II wojna światowa. Polaków spotkała bezprecedensowa tragedia, miliony ofiar i ogromne zniszczenia – to konsekwencje, które odczuwamy do dziś.

Pomimo bohaterskiego oporu Polska znalazła się pod okupacją. Tysiące polskich żołnierzy stanęły do walki, udowadniając, że „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”. Swoją postawą zaświadczali, że mi-

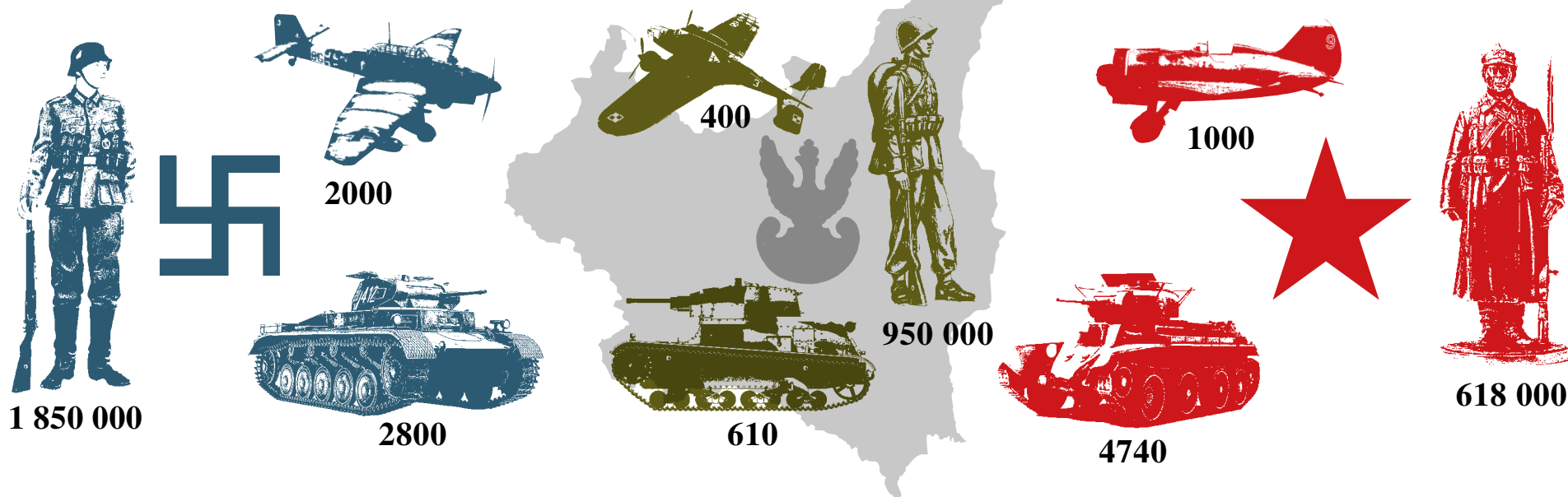
łość do Ojczyzny, wiara, honor i poczucie żołnierskiego obowiązku to wartości najważniejsze. Od pierwszego do ostatniego dnia wojny żołnierze z orłem na mundurze przelewali krew na wszystkich frontach.

1 września to dzień, który na zawsze odmienił Polskę. Dlatego naszym obowiązkiem jest przypomnienie o wszystkich, którzy stracili życie na polach bitew, w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Przypomnienie i działanie, by dramat wojny już nigdy się nie powtórzył. Oddajmy cześć bohaterom!



Ułan z 14 pułku ułanów jazłowieckich, dosiadający konia maści kasztanowej, która przeważała w tym lwowskim pułku kawalerii. Ułan nosi hełm wz. 1915, a uzbrojony jest w karabinek wz. 1929 kal. 7,92 x 57 mm z bagnetem noszonym na pasie głównym po lewej stronie. Przy siodle ma przytroczoną szablę wz. 1934 ze skórzanym temblakiem. Amunicję przewozi w dwóch trzykomorowych skórzanych ładownicach, podtrzymywanych przez skórzaną szelki. Wyposażenie uzupełnia łopátka z pokrowcem, chlebak oraz maska przeciwgazowa wz. 1932 w torbie. Na nogach buty do jazdy konnej z ostrogami.

WALCZYLIŚMY Z PRZEWAŻAJĄCĄ SIŁĄ WROGA



Gdańsk. O to miasto od wieków rozbiły się niemieckie ambicje i polskie marzenia. Gdy po wojnie światowej Europa jeszcze leczyła rany, niemiecko-polski spór o Gdańsk już kipiał jak gejzer. Kiedy w styczniu 1918 roku prezydent USA Woodrow Wilson zapowiedział w swoim orędziu odbudowę polskiego państwa z dostępem do morza, Polacy starali się przekonać zachodnie mocarstwa o swoich historycznych związkach z tym miastem. Niemcy powoływali się jednak na silny argument – znakomita większość mieszkańców Gdańska miała narodowość niemiecką, Polaków w tym mieście było wówczas nieco ponad cztery procent. Konflikt rozwiązano podczas konferencji pokojowej w Paryżu. Brytyjski pomysł, by utworzyć Wolne Miasto Gdańsk pod kuratelą Ligi Narodów, z zastrzeżeniem, by Polska posiadała na jego terenie szczególne uprawnienia, zyskał aprobatę Wilsona i przeszedł do historii jako jedno z wielu postanowień traktatu wersalskiego z 1919 roku. O ile gdańszczenie przyjęło decyzję traktatu niechętnie, choć powściągliwie, licząc między innymi na korzyści z handlu z Polską, o tyle niemieccy politycy nie pogodzili się z traktatowym rozstrzygnięciem.

Polski orzeł

Wśród różnych przywilejów, jakie miało państwo polskie na terenie miasta i portu, znalazło się między innymi prawo do posiadania własnej służby pocztowej. Energiczne zabiegi polskich władz sprawiły, że na terenie Wolnego Miasta szybko zaczęły działać trzy polskie urzędy pocztowe. Głównym urzędem była poczta przy placu Heweliusza (Heveliusplatz). Działała tu centrala telefoniczna utrzymująca stałą łączność z Polską. Poczta pod koniec lat trzydziestych zatrudniała około 110 pracowników. W centrum Gdańska umieszczono dziesięć pocztowych skrzynek oznakowanych wizerunkiem białego orła, przeznaczonych wyłącznie do korespondencji z Polską. Po ich zainstalowaniu od razu rozpoczęła się próba sił. Niemieckie bojówki postawiły sobie za cel zniszczenie polskich symboli. Polskie skrzynki pocztowe były więc co noc dewastowane i malowane obelżywymi napisami. Jednak każdego ranka polskie służby pocztowe skrupulatnie je odnawiały i konserwowały. Listonosze nie wychodzili w swój rejon pojedynczo, bo ryzyko było zbyt wielkie. Po dojściu do władzy w Niemczech Hitlera w roku 1933 pocztowcy niemal natychmiast odczuli eskalację wystąpień przeciwko polskiej ludności miasta. Wyzwiska, pobicia, szykany, rzucanie kamieniami – w takich warunkach pracowali Polacy.

Jeden z listonoszy został niemal zakatowany przez pijanego niemieckiego marynarza.

Plan obrony – plan ataku

Andrzej Gąsiorowski, badacz wojennej historii Pomorza podaje, że prawdopodobnie już w marcu 1939 roku polski Sztab Główny podjął decyzję o obronie budynku poczty przy placu Heweliusza. W kwietniu do Gdańska został oddelegowany por. Konrad Guderski „Konrad”, cieszący się uznaniem polskiej kadry dowódczej utalentowany oficer wywiadu. Konspiracyjnej gościny użyła mu mieszkająca w budynku poczty rodzina podreferendarza Alfonsa Flisykowskiego. Pamięta to jego córka, Henryka Flisykowska-Kledzik: „Czuliśmy z bratem, że dzieją się sprawy wielkie i ważne i że absolutnie nikomu nie możemy



Szturm na Poczta Polską w Gdańsku

OPÓR OBRONA POCZTY POLSKIEJ



Znaczek wydany w tym roku przez Poczta Polską, upamiętniający bohaterskich obrońców.
Autor projektu: Maciej Jędrzyk

W roku 1939 obsada polskiego Urzędu Pocztowego Gdańsk 1 nie była przypadkowa. Wśród urzędników skierowanych tu do pracy wielu było oficerami rezerwy lub miało wojskowe przeszkolenie. Obie strony konfliktu – polska i niemiecka – były uzbrojone, obie wiedziały bowiem, że właśnie przy gdańskim placu Heweliusza rozegra się walka o prawo do tej ziemi.

zdradzić tego faktu”. „Konrad” był wysłannikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych odpowiedzialnym za utworzenie struktur obrony obiektu. Od kwietnia rozpoczęły się regularne dostawy broni do budynku. Pracownicy działali w pełnej konspiracji, zachowując szczególne środki bezpieczeństwa. Pod przykrywką Poczty Klubu Sportowego szkolili się w posługiwaniu bronią. Polecono im także wywieźć swoje rodziny do Polski. Pocztców, których Gestapo zdekonspirowało, dla bezpieczeństwa wywożono razem z rodzinami i błyskawicznie zmieniano struktury, w których dotychczas działali. Guderski był profesjonalistą.

Gestapo nie ustawało jednak w próbach rozpoznania środowiska, które uznawało za szczególnie niebezpieczne dla interesów III Rzeszy. Załogę polskiej poczty wzmocniono o urzędników z Gdyni

i Bydgoszczy. Wszyscy oni – jak podaje profesor Gąsiorowski – byli oficerami rezerwy. Ale Niemcy także nie tracili czasu, szczegółowy plan natarcia na budynek pocztowy opracowali już na początku lipca 1939 roku. Mieli dobrze rozpoznany teren i zinfiltrowaną obsługę placówki, której umiejętności w walce musieli szacować wysoko, bowiem do ataku przeznaczili grupy szturmowe złożone ze 150 funkcjonariuszy gdańskiej policji. Ci mieli przypuścić atak równocześnie na wszystkie poziomy budynku, aby szybko osiągnąć spektakularne zwycięstwo i nie dać Polakom szans na obronę.

Oczekiwanie

30 sierpnia 1939 roku Albert Forster – osławiony później na Pomorzu kat Polaków, który ogłosił się głową Wolnego Mia-

sta Gdańska – odbierał ostatnie rozkazy od Hitlera. 31 sierpnia polscy żołnierze na Westerplatte otrzymali już informację o zmianie rozkazów swego dowództwa. Sztab Główny odstąpił od planów obrony polskich placówek w Gdańsku – takie rozwiązanie rekomendował zresztą polski komisarz generalny w Gdańsku Marian Chodacki, który depešował do naczelnego wodza, że obrona strategicznych dla Polski obiektów w mieście jest bezcelowa. Bez odpowiedzi pozostanie pytanie, dlaczego tej decyzji nie przekazano polskim pocztowcom.

Pracownikom zmiany dziennej polecono, aby pozostali na noc w budynku. Zaczęło się pełne napięcie oczekiwania. Rozdano broń. Dyrektor Poczty Polskiej w Gdańsku Jan Michoń uroczystie odczytał zebrany rozkaz o konieczności obrony i utrzymania polskich placówek



Bojówka NSDAP niszcząca polską skrzynkę pocztową, 1939 rok



Szturm na budynek Poczty, 1939 rok



Obrońcy Poczty po 14 godzinach walki

w Gdańsku w oczekiwaniu na nadejście odsiecz. Por. „Konrad” odebrał przysięgę od załogi. Pocztowcy dysponowali ręcznymi granatami i pistoletami. Na każdym piętrze ustawiono stanowisko lekkiego karabinu maszynowego. W budynku nadejścia świtu oczekiwało 58 Polaków.

Odcięci

Przejmujące dźwięki starego hejnału pocztylionów *Groza* co roku przypominają pod dawnym gmachem polskiej poczty czternaście godzin jej heroicznej obrony. Nieliczni, którzy przeżyli piekło przy placu Heweliusza, długo nie chcieli dzielić się wspomnieniami, niemniej w Polsce do końca lat osiemdziesiątych ukazało się na ten temat wiele wydawnictw popularnych oraz naukowych, łącznie z analizą zbrodniczego procesu sądo-

wego, który Niemcy wytoczyli po walce ocalałym pocztowcom. Dieter Schenk w swej znakomitej książce *Polska Poczta w Gdańsku – historia pewnego niemieckiego morderstwa sądowego* odtworzył dla czytelnika niemieckiego przebieg wydarzeń z 1 września 1939 roku. Wczesnym świtem starszy asystent Bernard Binnebesel, który zmarł następnie z ran, odkrył, iż zostały przerwane wszystkie połączenia z Polską. Zgasiło światło. Za oknami pojawiły się niemieckie mundury. Załogę poczty postawił na nogi dyrektor Michoń. Od tej pory ponad pięćdziesiąt osób, w tym jedenastoletnia wychowanka dozorczy, zostało odciętych od świata. Niemcy zaatakowali detonując ścianę pobliskiego Krajowego Urzędu Pracy, stanowiącego jedno ze skrzydeł gmachu. Pocztowcy zdołali jednak odeprzeć natarcie. Napastnicy

byli zupełnie zaskoczeni. Spodziewali się obrony, ale zaciekle opór i nawałnica ognia, którą odpowiedzieli Polacy, zmusiły ich do zmiany planów. Teren został odcięty kordonem od reszty miasta.

Bitwa

Odpowiedzialny za natarcie pułkownik niemieckiej policji Bethke, widząc, że grupy szturmowe nie są w stanie sforsować obrony gmachu, szybko sprowadził stu pięćdziesiątymilimetrową połowę haubicy z grupy „Eberhard”, która ostrzeliwała Westerplatte. Atak wsparły dwa działa i wóz pancerny. Energiczne działania Bethkego spowodowane były także wymogami niemieckiej wojny propagandowej. Według pomysłu Goebbelsa widzowie niemieckiej kroniki filmowej mogli w tym samym czasie oglądać rycerski Blitzkrieg niemieckiej armii, która w nowych i dobrze skrojonych mundurach poszerzała Lebensraum narodu niemieckiego. Stąd tak wielka liczba niemieckich reporterów na placu Heweliusza.

Pocztowcy nie reagowali na wezwania do złożenia broni. Odpowiadali ogniem. Podczas walk doszło do bezpośredniego starcia z niemieckimi żołnierzami, którym udało się w końcu wdrzeć do budynku. I tym razem zostali odparci. Gmach był jednak silnie uszkodzony, a obrońcy zostali trwale rozdzieleni i uwięzieni – w piwnicy oraz na półpiętrach. Zginął także ich dowódca, „Konrad”, którego śmiertelnie ranił odłamek granatu. Był jednocześnie pierwszą polską ofiarą walk. Dowództwo błyskawicznie przejął, ranny w nogę, trzydziestosiedmioletni kpr. Flisykowski, ochotnik z wojny 1920 roku. Po drugiej stronie frontu walk pojawił się podobno Forster, aby osobiście nadzorować przebieg ataku. Sytuacja pocztowców pogarszała się z godziny na godzinę. Wyczerpana walką część załogi chciała się poddać. Jednak Flisykowski po furii, z jaką atakowali Niemcy, zorientował się, że jeńców po tej walce nie będzie. Postanowił więc zginąć w boju, innym pozostawiając swobodę wyboru decyzji.

Do obrońców powoli docierało w jakim położeniu się znajdują. Wszyscy prawie byli ranni, odcięci od świata, z kończącymi się zapasami amunicji, bez prądu i wody. Gęsty dym i ogień utrudniały widoczność i oddychanie. Oddziały armii „Pomorze” nie przybyły z odsieczą, a silny ostrzał wymusił zejście do piwnic. To symboliczne miejsce w tej bitwie.

Kapitulacja

Po czternastu godzinach walki nastąpiła ostatnia faza dramatu. Niemcy wpompowali do piwnic budynku benzynę, podpalając ją za pomocą granatu. Los pocztowców został przesądzony. Musieli słyszeć zgrzyt toczonych beczek i odgłosy podjeżdżających samochodów z cysternami. W rozgrzanym do czerwoności gmachu spłonęło żywcem

pięć osób, sześciu obrońców zostało ciężko rannych. Wśród płomieni, dymu i pyłu dyrektor Michoń znalazł biały ręcznik – niosąc przed sobą tę zaimprovizowaną flagę wyszedł z gmachu. Przywitał go stek wyzwisk. Zginął ścięty serią w brzuch.

Próbę wyprowadzenia załogi podjął wtedy naczelnik urzędu pocztowego, oficer rezerwy Wojska Polskiego, Józef Wąsik, lecz padł na schodach spalony od ognia z miotacza płomieni. Kolejną ofiarą był pocztowy dozorca – płyn wypalił mu dziurę w głowie. Umierał w męczarniach. W tym samym czasie na dziedzińcu poczty rozlegał się przerażający krzyk dziecka. Płonęła jedenastoletnia Erwina Barzichowska, wyprowadzona z piwnicy przez żonę dozorczy. Mała, żywa pochodnia biegła bezładnie po zrujnowanym dziedzińcu. Umarła, nie leczona, siedem tygodni później. Jej opiekunka straciła wzrok. Przeżyła, choć przeszła ciężkie śledztwo w gdańskim Gestapo. Tortury podkopały jej zdrowie na całe życie.

Czy pan walczył?

Czy pan strzelał?

Pierwszy dzień wojny dobiegał końca. Ocalało zdjęcie, na którym widać, jak

Niemcy prowadzą polskich pocztowców pod mur. Staniających się na nogach Polaków obfotografowano. Operator kamery kręcił niestrudzenie, ale wrażliwi widzowie niemieckich kin nie zobaczyli na filmie, jak ich żołnierze palą żywcem ludzi.

Dziennikarze nie tak wyobrażali sobie relacje z tej walki. W ich raportach polska poczta urasta więc do rozmiarów twierdzy nie do zdobycia, góry ziejącej ogniem, a pocztowcom są przypisywane cechy niemal nadprzyrodzone, tak jednak, by ich zohydzić w oczach widzów. Obrońcy poczty przeżywają następny etap swej gehenny. Prowadzeni przez miasto, muszą przeciskać się przez szpaler gdańszczyzan. Mieszkańcy przybyli, by ujrzeć pokonanych polskich bandytów. Lżą staniających się na nogach, rannych Polaków. Kobiety i dzieci pluja, rzucają kamieniami. Prowadzą ich do gdańskiej katowni Gestapo, osławionego następnego budynku Victoriaschule.

Byli wyjątkowo znienawidzonymi więźniami. Rannym w więziennym szpitalu nie udzielono żadnej pomocy. Śmierć od ran i poparzeń poprzedziły więc kilkudniowe męczarnie. Ruszył proces sądowy. Przesłuchanie rannych polegało na zadaniu dwóch pytań: – Czy pan walczył? Czy pan strzelał?

Flisykowskiemu wraz z czterema więźniami udało się zbiec. Niestety, dwa dni później został zadenuncjowany i odprowadzony z powrotem na Gestapo. Zachowały się, jako jedyne, protokoły jego przesłuchań. Bronił się godnie, wyjaśniając bezskutecznie swój status zmobilizowanego rezerwisty, a więc żołnierza, dementując oskarżenia o udział w nielegalnej bandzie. Zeznania nie zostały wzięte pod uwagę.

Dokończenie na następnej stronie



POR. KONRAD GUDERSKI



JÓZEF WĄSIK



ALFONS FLISKOWSKI

Dokończenie ze strony 5

Wyrok na przyzwoitych ludzi

Decyzją niemieckiego sądu polowego ocalałych pocztowców skazano na śmierć pod zarzutem nielegalnych działań dywersyjnych. Pod wyrokiem widnieją podpisy prokuratora Kurta Bode i sędziego Hansa Giesecke. Po wojnie obaj zrobili kariery w niemieckim wymiarze sprawiedliwości, chronieni przez wiele lat przez korporacyjną solidarność kolegów-prawników.

Polskich pocztowców rozstrzelano 5 października na gdańskiej Zaspie. Według zachowanych świadectw prowadzono ich czwórkami, spętanych. Nad wykopany przez więźniów Stutthofu grobem pozwolono im przyjąć komunię świętą. Mogiłę zasypano gaszonym wapnem i dokładnie przykryto murawą. Miejsce zbrodni pozostało nieznane przez pół wieku. Schenk przytacza wypowiedź jednego z niemieckich żołnierzy, który, wspominając po latach postawę pocztowców podczas przesłuchań oraz w chwili śmierci, zdobył się na lakoniczne wyznaczenie: „To byli przyzwoici ludzie”.

Rodziny ofiar otrzymały krótkie zawiadomienie o wykonaniu wyroku, po czym zaczęły się prześladowania bliskich. Pracowników poczty, którzy nie brali udziału w jej obronie, zesłano do obozów koncentracyjnych – dziesięciu z nich rozstrzelano, osiemnastu zamęczono na śmierć.



Erwina Barzychowska, najmłodsza ofiara ataku Niemców na Poczcie Polskiej

Niemiecki policjant

Wymiar sprawiedliwości w Niemczech umarzał kolejne śledztwa, o które wносиły dzieci pomordowanych obrońców, domagając się uchylecia wyroku. Z pomocą przyszedł im dopiero szef sekcji kryminalnej w Federalnym Urzędzie Kryminalnym w heskim Wiesbaden – Dieter Schenk. Mozolnie przeglądając rozproszone akta, zbierając dokumentację, korespondując z hermetycznymi urzędami niechętnie wydającymi papiery, docierając do świadków, sporządził kompletny obraz zbrodni zakwalifikowanej jako justizmord. To właśnie Schenk podważył zasadność wyroku, znalazł wśród rodaków sprzymierzeńców dla swych działań i włął w serca dorosłych już dzieci polskich pocztowców otuchę. Dzięki pracy Schenka ruszyła w Niemczech lawina. Książka niemieckiego policjanta była wstrząsem dla wielu jego rodaków, dzięki niej właśnie polskim pocztowcom przywrócono w Niemczech dobre imię. Sąd w Lubece, rozpatrujący wyrok z 1939 roku, potwierdził zbrodniczy i niezgodny z ówczesnym prawem jego charakter. W roku 1998 wszystkich polskich pocztowców uniewinniono.

*Anna Putkiewicz
redaktor naczelny miesięcznika
Polska Zbrojnia. Historia*

JAK URATOWANO SKARB NARODU

5 września 1939 roku rozpoczęła się niezwykła operacja ratowania polskiego złota. Czas naglił. Plan był jasny – złoto musi dotrzeć do Francji. Jego realizacja była jednak niezwykle trudna, musiała odbywać się w warunkach wojny i dyplomatycznej dezorganizacji.

W pierwszych dniach września 1939 większość polskiego majątku narodowego znajdowała się w kraju, w dodatku w wielu różnych miejscach, co z góry utrudniało niezwykle i szalone pod względem logistycznym zadanie wywiezienia go z okupowanej Polski. Największy depozyt złota znajdował się w siedzibie Banku Polskiego w Warszawie (około 193 mln zł z łącznej sumy 462 mln zł). Tylko 100 mln zł zdeponowano za granicą, a pozostałe zasoby m.in. w Siedlcach, Lublinie, Zamościu czy Brześciu nad Bugiem.

3 września płk Adam Koc – były oficer wywiadu i prezes Banku Polskiego – otrzymał od władz Rzeczypospolitej zadanie zabezpieczenia złota BP. W tym momencie rozpoczął się morderczy wyścig z czasem – zakulisowa wojna, której stawką było uratowanie naszego skarbu narodowego: złota Banku Polskiego i walorów Funduszu Obrony Narodowej. Miały one bowiem zapewnić byt walczącej ponownie o niepodległość Polsce. Do uratowania było w sumie około 80 ton złota, które trzeba było zwieźć do jednego punktu zbornego z wielu odległych miejsc, w dodatku zatłoczonymi szosami i podczas ataków niemieckiego lotnictwa. Misja

była karkołomna, zważywszy na trudności z zapewnieniem odpowiedniego transportu, presję czasu oraz depreczających po piętach Niemców.

Pod presją czasu

5 września rozpoczęła się niezwykła operacja ratowania polskiego złota. Cztery dni później do Łucka dojechały kolumny z Warszawy i Lublina, ciągle w drodze były transporty z Siedlec, Brześcia i Zamościa. Płk Koc, który we wrześniu objął stanowisko wiceministra skarbu, właśnie w Łucku spotkał swoich dawnych przyjaciół – byłego szefa wywiadu i kierownika Ministerstwa Skarbu płk. Ignacego Matuszewskiego oraz byłego attaché wojskowego w Tokio, ministra przemysłu i handlu mjr. Henryka Floyar-Rajchmana. To właśnie im płk Koc powierzył kierowanie dalszą ewakuacją skarbu. Zaufał oficerom, ponieważ wiedział, że są odważni, potrafią podejmować decyzje i radzić sobie z napotykanymi trudnościami. Mimo pewnych rozbieżności w ocenie polityki ówczesnego rządu i władz wojskowych ci trzej panowie potrafili się porozumieć i zmobilizować dla ratowania większej sprawy.

Plan był jasny – złoto musi dotrzeć do Francji, ale droga była daleka. Najpierw

Rumunia, Turcja i Bliski Wschód. Za przyjaźnieni oficerowie podzielili się zadaniami i wyruszyli ze „złotą kolumną” do Śniatynia, w pobliżu granicy z Rumunią. Przeorganizowali cały transport, by mógł przebiegać sprawniej i szybciej. Kolumna poruszała się trasą: Brody – Tarnopol – Tłuste – Horodenka – Śniatyn. 12 września kolumna pod dowództwem Rajchmana dotarła do Śniatynia. Nazajutrz, mimo uciążliwych nalotów Luftwaffe, dołączył do niej tzw. transport brzeski, siedlecki i zamojski. Udało się więc planowo skoncentrować ewakuowany skarb w jednym miejscu w pobliżu granicy polsko-rumuńskiej. Późnym wieczorem 13 września na stacji kolejowej w Śniatyniu przeładowano do wagonów około 75 ton złota (70 skrzyń wyłączono wcześniej na potrzeby wojska decyzją Naczelnego Dowództwa WP). Rajchman przekazał wówczas kierownictwo transportu Matuszewskiemu.

Dodatkowe zadanie Rajchmana

Gdy pociąg z polskim złotem zmierzał w kierunku Konstancy, rumuńskiego portu nad Morzem Czarnym, mjr Rajchman otrzymał rozkaz odszukiwania i przejęcia transportu z kosztownościami oraz drogocennymi eksponatami Funduszu Obrony Narodowej. Znalazł kolumnę z trzema ciężarówkami między Tarnopolem a Horodenką i w ostatniej chwili – w nocy z 17 na 18 września – uratował je przed Sowietami, następnie przyłączył w Kutach do transportu jeden eszelon z walorami Banku Polskiego i przybył do Czerniowiec. Po wielu negocjacjach polskich dyplomatów z rumuńskimi władzami cenny transport udało się przewieźć do ambasady RP w Bukareszcie. Ze zbiorów FON-u wydzielono 2,5 ton srebra i ukryto je w piwnicach ambasady, a złoto i pieniądze postanowiono przekazać do dyspozycji prezydenta Władysława Raczkiewicza w Paryżu. Potrzebny był niebywały spryt, by „wyrwać” Rumunom zbiory FON-u. W końcu zezwolili na ich przewóz drogą morską do portu w Marsylii.

Najważniejsza misja**Ignacy Matuszewski**

We wrześniu 1939 r. wspólnie z mjr. Henrykiem Floyar-Rajchmanem kierował ewakuacją złota Banku Polskiego i FON.

Henryk Floyar-Rajchman

We wrześniu 1939 r. brał udział w ewakuacji polskiego złota, kierując konwojem przewożącym środki finansowe FON.

Misja Matuszewskiego

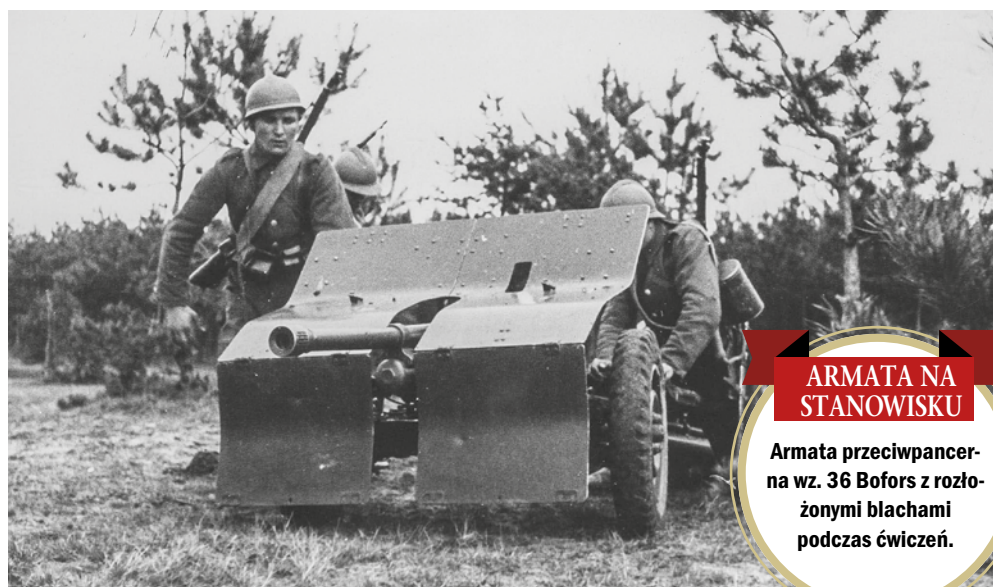
Transport ze skarbem pod dowództwem płk. Matuszewskiego przybył 15 września do Konstancy. W porcie czekał już statek zarekwirowany przez Brytyjczyków na potrzeby Polaków, ale pojawiły się przeszkody, które opóźniły jego wypłynięcie. Niemcy, świadomi drogiego ładunku, próbowali wyrzucić na Rumunach i Turkach presję – zagrozili nawet ostrzałem statku. I choć Matuszewski otrzymał rozkaz z ambasady w Bukareszcie, by po dopłynięciu do Turcji przekazać cały ładunek konsulowi RP w Konstantynopolu, postanowił działać po swojemu. Mimo ryzyka nalotu Luftwaffe polecił podporządkowanemu angielskiemu kapitanowi wypłynąć po omacku z portu i skierować się do Stambułu. W Turcji doszły kolejne kłopoty: Matuszewskiemu nie pozwolono zejść na ląd, ale zaferowano „pomoc” w przechowaniu cennego ładunku w Banku Ottomańskim, Brytyjczycy zaś nie chcieli wypłynąć na Morze Śródziemne bez wojskowej eskorty. Matuszewski obawiał się (szczególnie w sytuacji sowieckiej napaści na Polskę) konsekwencji ze strony tureckiej, ale namówił polskiego ambasadora w Ankarze Michała Sokolnickiego na przejście odpowiedzialności za całość transportu na terenie Turcji. Dalsze działania dyplomatyczne umożliwiły przerzut złota drogą lądową z Turcji przez Syrię do Libanu, a stamtąd do Francji. 19 września ambasador, dzięki pomocy amerykańskiego przedsiębiorcy Archibalda Walkera, zapłacił Turkom i cztery dni później złożony z 12 wagonów pociąg dotarł do libańskiego miasta Rayak, skąd ruszył do Bejrutu. Dzięki uporowi płk. Matuszewskiego całość skarbu podzielono na trzy części i trzema francuskimi okrętami, na raty, wysłano do portu w Tulonie. Cała operacja przerzutu złota do Francji zajęła miesiąc i zakończyła się 5 października 1939 roku.

Wielki powrót do Ojczyzny

Ignacemu Matuszewskiemu i Henrykowi Floyar-Rajchmanowi jeszcze za życia przyszło zaznać goryczy niewdzięczności – po przedostaniu się na Zachód usłyszeli rozmaite zarzuty o nadużycia finansowe w trakcie przewożenia złota. Późniejsze losy rzuciły obu przyjaciół za ocean. W Nowym Jorku współtworzyli Instytut Piłsudskiego i Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia. Po licznych represjach płk Matuszewski zmarł nagle na atak serca 3 sierpnia 1946 r. i został pochowany w Nowym Jorku. Spoczął tam również po śmierci 22 marca 1951 r. mjr Rajchman, zgodnie zresztą z wolą obu oficerów. Obaj zostali przykryci niewielką płytą nagrobną na cmentarzu wojskowym Calvary w Nowym Jorku.

Po wielomiesięcznych staraniach polskich władz, ekshumacji w Nowym Jorku, pod koniec listopada 2016 roku szczątki oficerów sprowadzono do Polski. 10 grudnia 2016 roku na Powązkach Wojskowych w Warszawie, we wspólnej mogile pochowano z honorami państwowymi płk. Ignacego Matuszewskiego i mjr. Henryka Floyar-Rajchmana. Oficerowie spoczęli w kwaterze żołnierzy wojny 1920 roku. ■

Na podstarwie materiałów autorstwa dr. hab. Sławomira Cenckiewicz, dyrektora Wojskowego Biura Historycznego opracował January Szustakowski



ARMATA NA STANOWISKU

Armata przeciwpancerna wz. 36 Bofors z rozłożonymi blachami podczas ćwiczeń.

Pepance Boforsa w polskiej służbie

Technologiczna przewaga Wehrmachtu nad Wojskiem Polskim we wrześniu 1939 roku nie podlega dyskusji. Warto jednak pamiętać, że i w naszym arsenale nie brakowało nowoczesnych i skutecznych środków walki. Należała do nich armata przeciwpancerna wz. 36 kal. 37 mm opracowana w szwedzkich zakładach Bofors.

Ranek 1 września 1939 roku 4 Dywizja Pancerna Wehrmachtu zaatakowała pod Moką pozycje Wołyńskiej Brygady Kawalerii. Wydawało się, że dla niemieckich pancerniaków i prawie 350 czołgów będzie to łatwe zadanie. Stało się jednak inaczej – dywizja nie zdołała osiągnąć celów natarcia, ponosząc przy tym dotkliwe straty w ludziach i sprzęcie. Por. Peter Derna, dowódca jednej z kompanii, tak zapamiętał to pierwsze starcie: „Człowiek oczom nie wierzył, patrząc jak ci Polacy się biją! Wydawało się, że przejdziemy jak po maśle ich pozycje bronione przez śmiesznie dziecinne, przy naszej nawale broni pancernej, małe działka i gniazda karabinów maszynowych. A jednak odgryzają się zajadłe, trafiając celnie nasze maszyny”. Owe „dziecinne małe działka” miały napsuć najeźdźcom jeszcze niemało krwi (także dosłownie) i to właściwie na każdym odcinku frontu. Sierż. pchor. Lucjan Zgorzelski z 14 Pułku Piechoty (4 Dywizja Piechoty ze składu Armii „Pomorze”) wspominał: „Broń pancerna niemiecka dokonała natarcia na naszą pozycję obronną. Tu widziałem fakt naocznie jak plut. pchor. d-ca działka p. panc. zastrzelił [sic!] 12 (dwanaście) czołgów biorących udział w natarciu [...] Załoga niemieckich czołgów korzystając z ciemności częściowo zbiegła, reszta zaś dostała się do niewoli. Czarno ubrani czołgiści, wielu rannych, byli zdumieni naszą obroną i naszą walką”. Zapewne nie wszystkie z owych dwunastu tanków Niemcy utracili bezpowrotnie, niemniej jednak skuteczność naszych pepanców w realiach września 1939 roku była bardzo duża.

Na polach bitew września 1939 roku

W chwili wybuchu wojny Polska miała ok. 1300 armat wz. 36 (produkcja krajowa i egzemplarze zakupione w Szwecji). Znajdowały się one w wyposażeniu kompanii przeciwpancernych w jednostkach piechoty – dziewięć armat w pułku według

etatu oraz w wyposażeniu plutonów przeciwpancernych w kawalerii – cztery armaty; w piechocie działon (obsługa jednego działka) liczył siedmiu żołnierzy: działonowy, celowniczy, ładowniczy, trzech amunicyjnych i woźnica; w kawalerii dochodziło jeszcze dwóch koniowodnych. Armaty miały ciąg konny (doczepiano je do przódka z amunicją), jedynie w jednostkach motorowych był on mechaniczny, np. w 10 Brygadzie Kawalerii do holowania wykorzystywano ciągniki PZInż. 302.

Skuteczność armatek ppanc. była sporym zaskoczeniem nie tylko dla wroga, ale także i naszych żołnierzy. Por. Lucjan Woźniak

strzał, usłyszeliśmy wybuch i czołg zaczął płonąć. Trzeci dodał gazu i mijając płonący czołg został w tym momencie trafiony i również zaczął płonąć. Celowniczy przysunął się do mnie i z radości zaczął mnie całować – nie byłem mu dłużny, takiego efektu nie spodziewałem się. Ogromna ulga i radość oraz świadomość, że czołgi to nie straszne, gdy ma się takie cudowne armaty ppanc.”. Boforsy należały do najlepszych broni w swojej klasie, przewyższając pod względem parametrów bojowych swojego niemieckiego odpowiednika – armatę PAK 35/36. Nasza armatka była lżejsza, miała większą prędkość początkową pocisku i większy zasięg. Niewielka masa umożliwiała stosunkowo swobodne manewrowanie na polu walki, co było konieczne wobec ciągłej potrzeby wyszukiwania nowych stanowisk ogniowych. Wydaje się, że atutem była także nieskomplikowana obsługa.

O skuteczności polskich armat przeciwpancernych przekonali się na własnej skórze, czy może raczej pancerzu, także czołgiści Armii Czerwonej. Szczególnie dotkliwe straty sowiecki agresor poniósł podczas bitwy pod Szackiem, którą zgrupowanie Korpusu Ochrony Pogranicza stoczyło w dniach 28–30 września z 52 Dywizją Strzelecką i wchodzącym w jej skład batalionem pancernym. Bój z czołgami T-26 opisał plut. Józef Strączek z pułku KOP „Sarny”: „Zobaczyłem na przedpolu w odległości około czterystu metrów cztery czołgi rosyjskie. Dobiegłem do opuszczonego działka ppanc., a widząc że jest gotowe do odpalenia, wycelowałem do czołgu i oddałem strzał. Był celny. Czołg obrócił się o 45 stopni. Oddałem drugi strzał – z czołgu buchnął ogień i załoga czołgu zaczęła opuszczać pojazd. Żołnierze, którzy obserwowali moje strzały, dobiegli do następnego działka i ostrzelali pozostałe czołgi oraz samochody ciężarowe, które były na drodze. Zniszczyliśmy cztery czołgi i rozbiliśmy kolumnę samochodów ciężarowych”. Sowieci przyznali się w pobitewnych raportach do straty siedmiu czołgów.

Boforsy, chociaż były doskonałym narzędziem walki i odpowiadały bez wąt-



MUZEM
WOJSKA
POLSKIEGO



BOFORS wz. 36

Spośród kilku zachowanych i eksponowanych w polskich muzeach Boforsów wz. 36 najcenniejszy wydaje się jeden z egzemplarzy z kolekcji warszawskiego Muzeum Wojska Polskiego. Armatę o numerze seryjnym 137 – jedną z 300 wyprodukowanych przez Szwedów – wykopano w 1979 roku podczas prac ziemnych przy budowie Mazowieckiego Szpitala Bródnowskiego.

z 1 Pułku Kawalerii KOP walczącego z Pułkiem Zmotoryzowanym SS Leibstandarte „Adolf Hitler” tak relacjonował wydarzenia 1 września: „W końcu z mgły wynurzył się pierwszy czołg, wydawał mi się nieduży, zbliżał się do mostka. Celowniczy denerwował się, chcąc już oddać strzał. Sam przeżyłem silny lęk, zdawało mi się, że obsługa wszystko widzi i zaraz wjedzie na nas. Po woli opanowałem się, uprzątnąjąc sobie, że jego widoczność jest daleko gorsza, bo co on może widzieć przez wąziutką szczelinę. Dopiero gdy znalazł się kilkanaście metrów od mostka, dałem znak. Padł strzał, czołg lekko skręcił, pochylił się nad rowem i stanął. Za chwilę wynurzył się drugi, a za nim kilkadziesiąt metrów trzeci. Gdy drugi czołg zbliżył się do trafionego – padł drugi

pienia za największą liczbę zniszczonych pojazdów bojowych wroga, nie mogły zmienić oblicza wojny. Było ich po prostu zbyt mało. „W chwili wybuchu wojny posiadaliśmy około 1300 działek ppanc. 37 mm wz. 36; był to sprzęt nowoczesny, który w walce z czołgami używanymi przez Niemców wykazał bardzo dużą skuteczność. Wobec ogromnej ilości broni pancernej, jaką rozporządzał nasz przeciwnik, ilość posiadanych przez nas ppanc. działek 37 mm była niewystarczająca”, wspominał ppłk inż. Apolinary Żebrowski, pracownik Departamentu Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych. ■

*Michał Mackiewicz,
bronioznawca,
pracownik Muzeum Wojska Polskiego*

Dowódcy polskiego Września

Grupa Operacyjna „Wyszków”



7 Wincenty Kowalski (1892–1984)

Generał brygady, dowódca 1 Dywizji Piechoty Legionów i Grupy Operacyjnej „Wyszków”. Na czele swojej dywizji w nocy z 11 na 12 września przebił się z okrężenia pod Kałuszynem. Dostał się do niewoli niemieckiej pod Tomaszowem Lubelskim.

Wielkopolska Brygada Kawalerii



10 Roman Abraham (1891–1976)

Generał brygady, dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii w składzie Armii „Poznań”. Walczył nad Bzurą, gdzie jego podkomendni powstrzymywali jednostki niemieckiej 4 Dywizji Pancerniej i opanowali przyczółek pod Brochowem na prawym brzegu rzeki, co na krótki czas umożliwiło komunikację z Modlinem. Od 15 września dowodził Grupą Operacyjną Kawalerii swojego imienia, z którą kilka dni później przedarł się do Warszawy po ciężkich walkach w rejonie Sierakowa, Lasek i Dąbrowy Leśnej w Puszczy Kampinoskiej.

Dowództwo Obrony Warszawy



14 Walerian Czum (1890–1962)

Generał brygady, komendant Straży Granicznej, w pierwszych dniach kampanii objął dowództwo nad załogą Warszawy. Trafnie zadecydował o oparciu obrony na zwartej zabudowie miejskiej, co osłabiło przewagę czołgów przeciwnika. Rozpoczął mobilizację jednostek i zatrzymał chaotyczną ewakuację mężczyzn na wschód kraju. Dzięki niemu odparto szturm na miasto, które ostatecznie musiało się poddać z powodu katastrofalnej sytuacji sanitarnej i braku amunicji.

Sztab Naczelnego Wodza



1 Edward Rydz-Śmigły (1886–1941)

Marszałek Polski, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych w latach 1935–1939, naczelný wódz w kampanii wrześniowej.



Waław Stachiewicz (1894–1973)

Generał brygady, szef Sztabu Głównego w latach 1935–1939, szef Sztabu Naczelnego Wodza w kampanii wrześniowej.

LEGENDA

- granica Polski 1 IX 1939
- linia graniczna między Niemcami a Rosją 28 IX 1939
- miasta wojewódzkie
- pozostałe miejscowości
- kierunki ofensywy wojsk niemieckich
- kierunki ofensywy wojsk sowieckich
- ① dowódcy
- ① rozmieszczenie armii na początku kampanii

ARMIA ŁÓDŹ

Dowództwo Obrony Wybrzeża



2 Józef Unrug (1884–1973)

Dowódca obrony Wybrzeża, odpowiedzialny za obronę odciętych od reszty kraju portów wojennych. 2 października, w obliczu całkowitego okrężenia, zgodził się na kapitulację Helu.

Grupa Operacyjna „Wschód”



11 Mikołaj Bołtuć (1893–1939)

Generał brygady, dowódca Grupy Operacyjnej „Wschód” w Armii „Pomorze”. Podczas zwrotu zaczepnego nad Bzurą dowodził na odcinku głównego uderzenia, jego oddziały opanowały Łowicz. Wobec pogarszającej się sytuacji wojsk polskich wykonał odwrót w kierunku Puszczy Kampinoskiej, podjął decyzję o przebieciu się do Warszawy. Poległ 22 września w boju pod Łomiankami na przedpolach stolicy, osobiście prowadząc żołnierzy do ataku na bagnety.

Armia „Łódź”



15 Juliusz Rómmel (1881–1967)

Generał dywizji, dowódca Armii „Łódź”. Na niego, jako na dowódcę armii, można liczyć – opinię taką wystawił mu przed wojną płk Stefan Rowecki, przyszły dowódca Armii Krajowej. Po niespełna tygodniu walki generał opuścił jednak swoją armię i udał się do Warszawy. Jako najstarszy rangą oficer w oblężonym mieście objął komendę nad improwizowaną Armią „Warszawa”, broniącą stolicy i Modlina, jednak faktycznym dowódcą obrony Warszawy był gen. Czum.

Armia „Łódź”



16 Wiktor Thommée (1881–1962)

Generał brygady, dowódca Grupy Operacyjnej „Piotrków” w Armii „Łódź”. Jego zgromadzenie broniło zachodniej granicy między Działoszynem a Kłobuckiem, walczyło później pod Piotrkowem Trybunalskim. 7 września objął dowodzenie nad Armią „Łódź” po nieoczekiwanej ucieczce jej dowódcy gen. Rómmela do Warszawy. Wyprowadził oddziały z niemieckich kleszczy, staczając zaciekle boje pod Mszczonowem i Błoniem. Następnie przebił się do Modlina. Brak amunicji oraz duża liczba rannych zmusiła go do podjęcia decyzji o kapitulacji 29 września.

Armia „Poznań”



17 Tadeusz Kutrzeba (1886–1947)

Generał dywizji, w kampanii wrześniowej dowódca Armii „Poznań”, która podczas bitwy granicznej nie była w zasadzie atakowana przez Niemców. 9 września, współdziałając z Armią „Pomorze”, zainicjował zwrot zaczepny, który zapisał się na kartach historii jako bitwa nad Bzurą. Kutrzeba starał się wyprowadzić swoje wojska do Warszawy przez Puszczy Kampinoską. Dotarłszy do stolicy, objął funkcję zastępcy dowódcy Armii „Warszawa”. 28 września podpisał akt kapitulacji miasta.

Dowództwo Lotnictwa



3 Józef Zając (1891–1963)

Generał brygady, naczelny dowódca lotnictwa i obrony przeciwlotniczej w kampanii wrześniowej.

Armia „Pomorze”



4 Władysław Bortnowski (1891–1966)

Generał dywizji, podczas kampanii wrześniowej był dowódcą Armii „Pomorze”, która poniosła klęskę w Borach Tucholskich podczas bitwy granicznej. 9 września podporządkował swoją armię rozkazom gen. Kutrzeby, rozpoczynając wóczas zwrot zaczepny nad Bzurą. W końcowej fazie bitwy nad Bzurą został ranny i trafił do niewoli.

Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie”



5 Franciszek Kleeberg (1888–1941)

Generał brygady, 9 września został dowódcą Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, formowanej z oddziałów zapasowych i tyłowych, która miała bronić wschodniego skrzydła polskiego przed pancernym zagroeniem Guderiana. Po agresji sowieckiej ruszył w kierunku Warszawy, tocząc pojedyncze walki z Armią Czerwoną. Na początku października pod Kockiem stoczył ostatnią bitwę kampanii.

Armia „Lublin”



6 Tadeusz Piskor (1889–1951)

Generał dywizji, po przegranej bitwie granicznej Rydz-Śmigły powierzył mu utworzenie Armii „Lublin”, która miała osłaniać linię Wisły przed rozpedzonymi jednostkami szybkimi Wehrmachtu. Po połączeniu z Armią „Kraków” stanął na czele Frontu Środkowego. 20 września skapitulował wraz z kilkunastoma tysiącami żołnierzy, z którymi poszedł do niewoli.

Grupa Operacyjna „Czersk”



8 Stanisław Grzmot-Skotnicki (1894–1939)

Generał brygady, w roku 1939 dowodził Grupą Operacyjną „Czersk”, osłaniającą połączenie między polskim wybrzeżem Bałtyku a resztą kraju. Większość zgrupowania została rozbita w Borach Tucholskich. Dołączył do Armii „Poznań” i na czele grupy kawalerii walczył nad Bzurą. 18 września po przeprawie przez Bzurę pod wsią Witkowiec poprowadził pieszy atak na blokujących drogę odwrotu Niemców. Postrzelony w brzuch zmarł następnego ranka.

Armia „Prusy”



9 Stefan Dąb-Biernacki (1890–1959)

Generał dywizji, w 1939 roku miał dowodzić Armią „Prusy”, czyli głównym odwodem w centrum kraju. Zaskoczony przez niemieckie kolumny pancerne, wydał im bitwę w rejonie Piotrkowa Trybunalskiego i Tomaszowa Mazowieckiego. Mimo klęski został mianowany dowódcą Frontu Północnego, który doprowadził aż pod Tomaszów Lubelski.

Armia „Modlin”



12 Emil Przedzimirski-Krukowicz (1886–1957)

Generał brygady, jako dowódca Armii „Modlin” kierował obroną pod Mławą, kluczową przeszkodą w drodze na Warszawę. Rozbita armia musiała wycofać się na wschodnie Mazowsze, a potem na Lubelszczyznę. Po krwawej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim skapitulował 26 września.

Armia „Karpaty”



13 Kazimierz Fabrycy (1888–1958)

Generał dywizji, dowódca armii „Karpaty” i „Małopolska”. Załamany porażkami, 12 września wycofał się do Lwowa, z dala od własnych wojsk, nad którymi dowództwo przejął gen. Sosnkowski.

Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew”



20 Czesław Młot-Fijałkowski (1892–1944)

Generał brygady, dowódca Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”, mającej za zadanie obronę póln.-wsch. odcinka frontu, w tym linii rzek Narwi i Biebrzy. 12 września, załamany rozbiem 18 Dywizji Piechoty, którą dowodził przed wojną, pod Zambrowem, przekazał dowództwo nad grupą gen. Zygmuntowi Podhorskiemu, który stworzył następnie improwizowaną Dywizję Kawalerii „Zaza”. Młot-Fijałkowski działał w sztabie tej dywizji, walczył później na Lubelszczyźnie.

Zgrupowanie Korpusu Ochrony Pogranicza



21 Wilhelm Orlik-Rückemann (1894–1986)

Generał brygady, od 31 sierpnia 1939 roku dowódca Korpusu Ochrony Pogranicza, odpowiadał za osłonę granicy ze Związkiem Sowieckim. Po 17 września pod osłoną pogranicznych fortyfikacji w ciągu kilku dni zebrał około dziewięciu tysięcy żołnierzy, tworząc Zgrupowanie KOP pod swoim dowództwem i zaczął wycofywać się w kierunku Lubelszczyzny. Po bitwach pod Szakiem i Wytycznym nakazał rozwiązanie zgrupowania. Przez Litwę i Szwecję dotarł do Wielkiej Brytanii w 1944 roku.

Armia „Kraków”



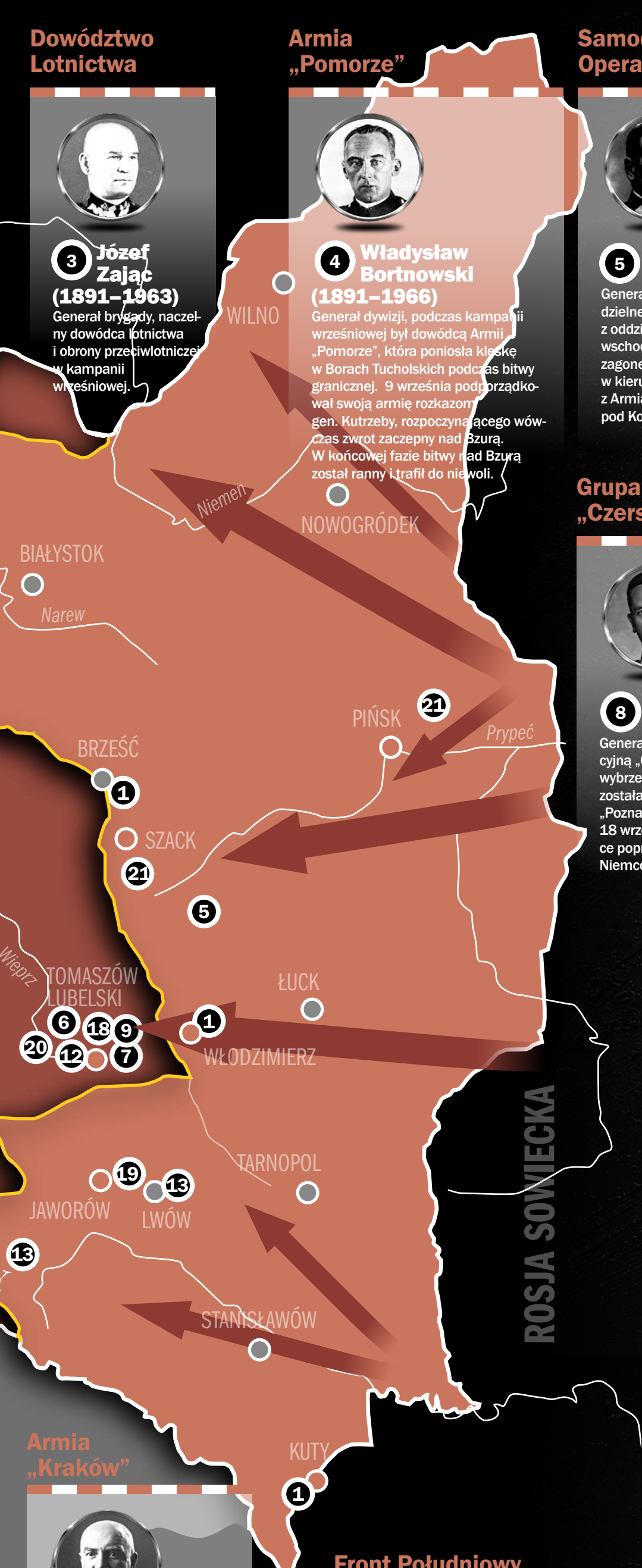
18 Antoni Szylling (1884–1971)

Generał brygady, dowódca Armii „Kraków” na Obszarze Warownym Śląsk i pod Pszczyną. Unikając rozbicia, przeprowadził oddziały przez Wisłę oraz San, dołączył do Frontu Środkowego gen. Piskora i wraz ze swoimi żołnierzami poszedł do niewoli.

Front Południowy

19 Kazimierz Sosnkowski (1885–1969)

Generał broni, jeden z najbliższych współpracowników Piłsudskiego. We wrześniu 1939 roku odmówił objęcia teki wicepremiera i poprosił o przydział frontowy. 11 września stanął na czele Frontu Południowego, w skład którego wchodziły armie „Małopolska” (wcześniej „Karpaty”) i „Kraków”. Poprowadził natarcie na oblężony przez Niemców Lwów, które jednak załamało się. Przedostał się przez Węgry do Francji.



Będziecie się bić!

Pułkownik Stanisław Dąbek odziedziczył po swych chłopskich przodkach z Podkarpacia upór, prostolinijność, pracowitość, odporność na wszelką biedę i bezgraniczne umiłowanie ojczyzny. Jak jego dziad poszedł bez wahania z kosą do powstania 1863 roku przeciwko Rosjanom uzbrojonym w karabiny, tak on w lipcu roku 1939 przyjął na siebie w istocie samobójczą misję podczas wojny z Niemcami.

Kiedy niespodziewanie otrzymał nominację na dowódcę Morskiej Brygady Obrony Narodowej oraz Lądowej Obrony Wybrzeża, zauważył gorzko: „Przysłali mnie tu, abym wypił piwo, które nawarzyli inni”. Istotnie, dysponując piętnastoma tysiącami słabo uzbrojonych żołnierzy miał bronić bez nadziei na jakąkolwiek odsiecz stutrzydziestokilometrowego odcinka frontu polsko-niemieckiego wraz z portem w Gdyni, graniczącym z Wolnym Miastem Gdańsk. Port, który wybudowano wraz z miastem od podstaw piętnaście lat wcześniej, był konkurencją dla niemieckiego Gdańska i jedynym oknem na świat Polski, która otrzymała na mocy traktatu wersalskiego w 1919 roku ledwie 140 kilometrów morskiego wybrzeża na Bałtyku. Obszar



PLK STANISŁAW DĄBEK

działań wojennych, obejmujący powiat morski wraz z portem w Gdyni, miał więc znaczenie polityczne i gospodarcze zarówno dla Niemców, jak i dla Polaków. Dla Dąbka było jasne, że mający kilkukrotną przewagę w ludziach i sprzęcie Niemcy od razu wezmą go w kleszcze okrażenia. W tej sytuacji wydał podkomendnym prosty rozkaz – Gdynię i Kępę Oksywską bronić do końca – po czym z ogromną energią wziął się do pracy nad wzmocnieniem obronności swojej placówki. W Gdyni i okolicy szybko przekonano

się, że ostrzeżenia, iż jedzie do nich fanatyk w służbie nie były przesadzone.

Na kłopoty Dąbek

Plk Dąbek nie był typem oficera o nie-nagannych manierach. Zahartowany od dziecka przez ciężką pracę i biedę, w woj-



Cmentarz wojenny na Kępie Oksywskiej po bitwie

sku hołdował prostej zasadzie, że robota musi być zrobiona na czas i dokładnie. Miał przy tym jeszcze cechę, która nie ułatwiała mu życia: mówił zawsze to, co myśli, nie wyłączając z tej zasady wyższych od siebie szarż. Z tego powodu Dąbek, który w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku odznaczony został za męstwo Orderem Virtuti Militari i pokazał na froncie swe talenty taktyczne, był często pomijany w awansach i przesuwany na stanowiska nie odpowiadające jego rzeczywistym zdolnościom. Jeden z jego podkomendnych napisał o nim: „W stosunku do podwładnych, podobnie zresztą jak i do siebie, był bardzo wymagający. W stosunkach służbowych bezpośredni, rubaszny, spraw nie owijał w bawełnę. Stanowczy w postanowieniach, w podwładnych wzbudzał szacunek, przemierzany jednocześnie z pewną dozą obawy”. Z takimi cechami i doświadczeniem pułkownik okazał się niezwykle trudnym przeciwnikiem dla Niemców atakujących 1 września 1939 roku Gdynię.

Mimo przytłaczającej przewagi nieprzyjaciela zastosował dobrze mu znaną z roku 1920 taktykę obrony przez atak. Podzieliwszy swe szczupłe oddziały na

Stanisław Dąbek został pośmiertnie awansowany do stopnia generała brygady, a na jego grobie wyryto słowa: „Pokażę Wam jak Polak walczy i umiera”.

grupy szturmowe, nieustannie rzucał je do ataku. Niemieckich żołnierzy zaczęły przerażać nocne boje, w których zmuszani byli do walki na bagnety, ale wtedy w sukurs przyszła im artyleria i lotnictwo. 10 września, który okazał się kolejnym ciężkim dniem walk, zwłaszcza w rejonie wsi Reda i na zachodnich przedpolach

OSTATNI MARYNARZ ORP „GRYF”

Stanisław Pyrek był ostatnim żyjącym członkiem bohaterkiej załogi stawiacza min ORP „Gryf”, która po zniszczeniu swego okrętu zasilła obrońców Helu i walczyła do dnia kapitulacji 2 października. Obrońca polskiego półwyspu zmarł 18 lipca 2019 roku w wieku stu lat.



Stanisław Pyrek z kolegami w niemieckiej niewoli. Pięciu marynarzy (od lewej) służyło we Flotylli Pińskiej, dwaj pierwsi z nich to Pyrek z kolegą z „Gryfa”. W pierwszym rzędzie siedzi niemiecki strażnik i polskie fryzjerki z Torunia, strzyżące marynarzy przed wywózką do obozu jenieckiego. Fot. z archiwum rodziny Pyrków

Dla załogi ORP „Gryf” pierwszy dzień wojny zmienił się w wielką bitwę z niemieckim lotnictwem. Jak Pan zapamiętał te dramatyczne chwile?

Pierwszy dzień wojny był dla nas tragiczny. Przede wszystkim, zginął nasz kapitan, komandor Stefan Kwiatkowski, skoszony serią karabinu maszynowego jednego z niemieckich samolotów. To, co pamiętam do dziś i co śni mi się do dziś, to spływający krwią pokład „Gryfa” i porzucane szczątki moich kolegów na przybudówkach po którymś z kolei nalocie Luftwaffe.

To były straszne chwile, ale po pierwszym szoku działaliśmy jak na manewrach. Kiedy kmdr Kwiatkowski został śmiertelnie ranny, przez chwilę dowodził nami jeden z bosmanów. Kierował ogniem dział i w końcu został

ciężko ranny. Urwało mu rękę, a on przez około godzinę stał jeszcze na pokładzie z zaciśniętym opaską kikutem i dalej wydawał rozkazy! Taka była adrenalina. Przez kilka dni z jednej strony odpieraliśmy naloty lotnicze, a z drugiej prowadziliśmy pojedynek z dwoma niemieckimi niszczycielami. I zdołaliśmy tak skutecznie z nimi walczyć, że przez nasze trafienia obydwa niemieckie okręty wycofały się po postawieniu zasłony dymnej. Na jednym z niszczycieli od naszych pocisków zginęła wtedy obsługa karabinu maszynowego. W tych pierwszych dniach wojny zdaliśmy nasz marynarski egzamin; dorównaliśmy nieprzyjacielowi dysponującemu nie tylko przeważającą siłą w powietrzu, ale i jedną z największych marynarek wojennych na świecie.



Obsługa armaty przeciwlotniczej wz. 1928 kalibru 40 mm na „Wichrze” podczas nalotu w dniu 3 września 1939 roku. Siedem takich armat zakupiono w Wielkiej Brytanii przed wojną dla potrzeb polskiej Marynarki Wojennej. Cztery z nich użyto na niszczycielach ORP „Wicher” i ORP „Burza”. Marynarze w białych mundurach codziennych, w wersji roboczej, w charakterystycznych białych czapkach marynarskich zwanych „amerykankami”.

Gdyni, Dąbek podjął decyzję o wycofaniu swych sił do ostatniej reduty – na Kępę Oksywską, zwaną Oksywiem morenową wysoczyznę położoną na północ od Gdyni nad Zatoką Pucką. Pod komendą zostało mu ponad dziewięć tysięcy ludzi, ale z każdym kolejnym dniem siły te topniały w huraganowym ogniu dział, broni ma-

szynowej i lotnictwa. Jak stwierdził sam dowódca – Oksywie zmieniło się w artyleryjską patelnię.

Śmierć bohatera

17 września po kolejnym niemieckim ataku, który twardo został odparty, do obrońców dotarła hiobowa wieść o rosyj-

skiej agresji na Polskę. W wyczerpanych wielodniową walką żołnierzach wieść ta ostatecznie złamała wolę walki. Następnego dnia żołnierze zaczęli poddawać się Niemcom lub rozchodzić do domów. Ich dowódca nie zamierzał jednak łamać oficerskiego słowa, że bronić będzie się do końca. Na pytanie swych oficerów, co robić, odpowiedział krótko: „Będziecie się bić, jak długo możecie. O mnie nie martwcie się”. Koniec nadszedł 19 września. Okoliczności jego śmierci nie są do końca znane. Tak w swych pamiętnikach opisał je towarzysz broni Dąbka, mjr Mieczysław Budek, który nie był jednak naocznym świadkiem ostatnich chwil swego dowódcy: „Dnia

19 rano (...) płk Stanisław Dąbek przerwał po ostatnim meldunku połączenie telefoniczne z Helem. Zwrócił się do swego otoczenia i wezwał wszystkich do obrony. Wyszedł z elkaemem w towarzystwie mjr. dypl. Czerwińskiego i por. rez. Michalika, oficera ordynansowego. Nadchodzących Niemców wezwał słowami: »Kameraden! Komm, komm« i strzelał seriami do nich. Trafiony kulą w krzyże wydobyl rewolwer i odebrał sobie życie. Przy nim zginął mjr Czerwiński”.

Jak później wyliczono, od 1 do 19 września 1939 roku oddziały Lądowej Obrony Wybrzeża pod dowództwem płk. Dąbka stoczyły ponad sto dziesięć walk – najwięcej ze wszystkich polskich jednostek we wrześniu 1939 roku. Również Niemcy podkreślali, że była to jedna z najcięższych dla nich bitew w całej polskiej kampanii.

Piotr Korczyński,
historyk, publicysta, dziennikarz
kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”.
Autor m.in. książki „Dla ojczyzny
ratowania: szubienica, pal i kula” (2019)



Marynarz Lotnictwa Morskiego podczas kampanii 1939 roku w Polsce. Umundurowany w granatowy półpłaszcz i ubiór roboczy, z nieregulaminowo noszonym swetrem. Uzbrojony w karabinek wz. 1929 Mauser kal. 7,92 x 57 mm. Na nogach trzewiki z nagolennikami brezentowymi wz. 1931 w wersji bielonej. Wyposażenie marynarza uzupełnia pas skórzany z dwoma skózanymi trójkomorowymi ładownicami na 120 naboł oraz przewieszona na prawy bok maska przeciwgazowa wz. 1932 w brezentowej torbie.

Pomimo ciężkich uszkodzeń od bomb, które zmieniły „Gryfa” w płonący wrak w porcie helskim, jego załoga nie zaprzestała walki. Wręcz przeciwnie, marynarze zdemonstrowali dzielność i walczyli się w obronę Helu. Jaka rola przypadła Panu w obronie półwyspu?

Mimo grozy po bitwie z niemieckimi lotnikami i marynarzami, wśród załogi nie było żadnych oznak paniki, ani nie-subordynacji, prócz jednego wyjątku. Okazał się nim oficer, który na jeden dzień, przed kmdr. Stanisławem Hryniewieckim, objął dowodzenie „Gryfem”. Był to zastępca kmdr. Kwiatkowskiego, kpt. Wiktor Wachtang-Łomidze, oficer kontraktowy z Gruzji. Niestety, w czasie nalotów niemieckich stchórzył i ukrył się pod najniższym pokładem. Podjął też kontrowersyjną decyzję o wrzuceniu do morza około trzystu nieuzbrojonych min, co spowodowało, że nasz okręt stał się jedynie „pływającą baterią artyleryjską”.

Ja, po zdemonstrowaniu dział z „Gryfa”, otrzymałem zadanie obsługi karabinu maszynowego. Jeszcze dodam, że za udział w demontażu broni z okrętu 10 września otrzymałem awans na starszego marynarza. Awansował mnie dowódca baterii

nadbrzeżnej im. Heliodora Laskowskiego, kpt. Zbigniew Przybyszewski. Zanim to jednak nastąpiło, miałem przeprowadzić ze wspomnianym wcześniej kpt. Wachtang-Łomidzem. Kiedy „Gryf” po kolejnych nalotach osiadł na dnie basenu portu helskiego, kmdr Hryniewiecki polecił nam zdemonstrować, a następnie opuścić okręt. Rozkaz ten wydał jednak jeszcze przed oficjalnym przejęciem „Gryfa” z rąk kpt. Wachtang-Łomidzego. I gdy kapitan zobaczył, jak rozbijam jedną z szaf w meście oficerskiej, kazał mnie postawić przed sądem wojennym za niszczenie mienia Marynarki Wojennej. O mało nie zginąłem od kul plutonu egzekucyjnego złożonego z własnych kolegów! Stawiając przed sądem wyjaśniłem, że wykonywałem rozkazy, które otrzymałem od przełożonego. Zakłopotani oficerowie zwolnili mnie, ale paradoksalnie, w tej chwili byłem bliżej śmierci niż pod ogniem niemieckich samolotów i okrętów...

To, co najmocniej utkwiło mi w pamięci z obrony Helu, to... chwila po kapitulacji. Ten straszny żal nas, prostych żołnierzów, że to już koniec walki. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: już po rozbrojeniu idziemy między szpalerem Niemców.

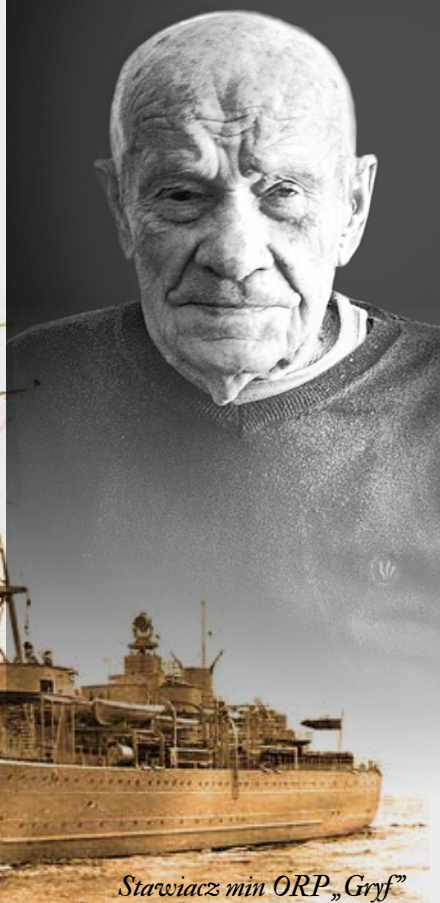
Oni upojeni zwycięstwem, uśmiechnięci, docinają nam i obrażają. I kilku naszych, z tej bezsilnej już złości, podeszło do tych Niemców i ich... obsikało. Żaden z niemieckich żołnierzów nawet się nie ruszył. A w nas tkwiła jakaś obojętność, jakby wszelki strach przed śmiercią wyparował w czasie walki. Przecież ci obsikani Niemcy mogli z łatwością zastrzelić tych, którzy im to zrobili. I na to nasi żołnierze liczyli! Bo w tej chwili klęski śmierć nie była dla nas czymś strasznym, lecz wybawieniem! Niemcy jednak nie dali się sprowokować, a ich oficerowie nam salutowali, podkreślając, że doceniają bohaterską postawę załogi Helu.

Rozmawiał Piotr Korczyński



Starwiejąc min ORP „Gryf”

Stanisław Pyrek 1919–2019



Wyrok na Wieluń



Przygraniczne polskie miasteczko Wieluń pod niemieckimi bombami 1 września 1939 roku

Na niespełna dwa tygodnie przed inwazją na Polskę, 22 sierpnia 1939 roku, Adolf Hitler na odprawie wyższych dowódców Wehrmachtu w Obersalzbergu wypowiedział znamienne słowa, które zaważyły na charakterze działań nadchodzącej wojny.

„Naszą siłą jest nasza szybkość i brutalność. Dżyngis-chan rzucił miliony kobiet i dzieci na rzeź z premedytacją i z lekkim sercem – historia widzi w nim tylko wielkiego założyciela państw. To, co mówią o mnie słabe cywilizacje zachodnioeuropejskie, nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Wydałem rozkaz – i każę rozstrzelać każdego, kto wyrazi choć jedno słowo krytyki – że celem wojny nie jest osiągnięcie jakiejś linii geograficznej, ale fizyczna zagłada wrogów. Obecnie tylko na wschodzie umieściłem moje Oddziały SS Trupiej Główni SS (SS-Totenkopfverbände), dając im rozkaz nieugiętego i bezlitosnego zabijania wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka, bo tylko tą drogą zdobyć możemy potrzebną nam przestrzeń życiową. Kto w naszych czasach jeszcze mówi o zagładzie Ormian?”.

Pierwszoplanową rolę w Blitzkriegu, jak z czasem zaczęto nazywać niemiecką taktykę, otrzymało lotnictwo. Luftwaffe była oczkiem w głowie Führera, ucieleśnieniem – oprócz wojsk pancernych – jego wizji wojny przyszłości. Lotnicy mieli być awangardą tego brutalnego ataku, co dobitnie podkreślił gen. Albert Kesselring w przemówieniu do absolwentów wojskowych szkół lotniczych:

„Krażąc nad miastami i polami wroga, winniście zdławić w sobie wszelkie uczucia. Musicie powiedzieć sobie, iż istoty, które widzicie, nie są ludźmi. Ludźmi są bowiem tylko walczący Niemcy. Dla niemieckiej Luftwaffe nie istnieją ani tak zwane obiekty niewojskowe, ani względy

uczuciowe. Kraje nieprzyjacielskie winny zostać starte z powierzchni ziemi”.

Wieluń, piętnastotysięczne miasteczko położone dwadzieścia kilometrów od ówczesnej granicy polsko-niemieckiej, nie mogło się pochwalić – nie licząc niewielkiej cukrowni – obiektami przemysłowymi czy wojskowymi. Nie było także węzłem komunikacyjnym, nie stacjonowały w nim oddziały operujące na tym obszarze Armii „Łódź” gen. Juliusza Rómmla, wokół miasta nie budowano też

żadnych umocnień wojskowych. Teoretycznie wielunianie mogli się czuć w miarę bezpiecznie i liczyć na to, że główne walki graniczne ominą ich miasto. Jednak za sprawą byłego dowódcy Legionu Condor, a w 1939 roku dowódcy niemieckiego lotnictwa szturmowego gen. Wolframa von Richthofena, stało się inaczej. To właśnie Richthofen, kuzyn słynnego „Czerwonego Barona”, asa niemieckiego lotnictwa z okresu Wielkiej Wojny, Manfreda von Richthofena, kierował nalotem

na hiszpańską Guernicę w trakcie wojny domowej w tym kraju. Teraz podlegli mu ludzie mieli sobie przypomnieć tę taktykę – niektórzy byli z nim w Hiszpanii – lub przejść chrzest bojowy nad Wieluniem. Przy okazji chciano przetestować najnowszy model bombowca nurkującego Junkers. Pretekstem do ataku były dane wywiadowcze, z których wynikało, że w Wieluniu miała być rozlokowana brygada kawalerii, a we wschodniej części miasta znajduje się sztab przeciwnika.

Do pierwszego nalotu w ramach operacji Ostmarkflug, czyli ataku powietrznego na Polskę, wyznaczono dywizjon kpt. Walthera Siegla, wchodzący w skład niemieckiej 4 Floty Powietrznej. Drugi atak na Wieluń przeprowadził dywizjon kpt. Friedricha-Karla von Dalwiga z Lichtenfelsa, trzeci przeprowadził mjr Oskar Dinort, przed wojną znany pilot sportowy. Warto tutaj jeszcze wymienić jednego uczestnika nalotu – Horsta Scholle, który był niemieckim absolwentem wieluńskiego gimnazjum.

Dwadzieścia dziewięć Junkersów kpt. Siegla pojawiło się nad Wieluniem 1 września 1939 roku o godzinie 4.35 i z pułapu dwóch tysięcy metrów rzuciło się w locie nurkowym na bezbronne miasto. Było to dziesięć minut przed rozpoczęciem ostrzału przez niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein” polskiej strażnicy na Westerplatte, położonej na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Druga wojna światowa rozpoczęła się więc, jak sądzi dziś część badaczy, właśnie nad Wieluniem, a nie na skrawku polskiego wybrzeża na Bałtyku.

Pierwsze bomby spadły na szpital Wszystkich Świętych, wyraźnie oznakowany – jak wspominają świadkowie – symbolami Czerwonego Krzyża. W tym ataku zginęły 32 osoby. Wspominał dyrektor szpitala Zygmunt Patryń:

„Wbiegłem do gmachu, którego część południowo-wschodnią leżała w gruzach. Tam przybiegła do mnie z budynku dla

Stauffenberg ogląda miasto

Widok zbombardowanego Wielunia pobudził do następującego wyznania Clausa von Stauffenberga, przyszłego bohatera narodowego nowych (?) Niemiec: „Ludność to niesłychany motłoch, bardzo wielu Żydów i mieszaninów. Naród, który czuje się dobrze tylko pod knutem. Tysiące jeńców dobrze posłuży naszemu rolnictwu” (z listu do żony). Swoje wrażenia z wizyty w Stuttgarcie, w okolicach którego Stauffenberg się urodził, opisał polski dziennikarz:

„Každy, kto zada sobie trud odwiedzenia izby pamięci Stauffenberga w Stuttgarcie, zobaczyć może wyeksponowany tam album ze zdjęciami z kampanii 1939 roku autorstwa Klausu Wernera Reerinka, przyjaciela Stauffenberga z tej samej jednostki. Polskiego widza wzburzyć musi przyklejone tuż obok zdjęcie zrobione w zburzo-

nym bombami wieluńskim mieszkaniu ze zwłokami martwej polskiej ofiary patrzącej niewidzącymi oczyma w obiektyw na pierwszym planie. Trudno myśleć spokojnie o oficerach uznających takie zdjęcia za ciekawą pamiątkę”.

Co roku 20 lipca, na pamiątkę nieudanego zamachu na Hitlera, który Stauffenberg przypłacił życiem, składają przysięgę w Berlinie rekruci Bundeswehry. Zamachowcy mieli cel militarny – zakończyć po śmierci Führera wojnę na zachodzie i przerzucić wszystkie siły na wschód. Jasno stawiali także swoje cele polityczne – zachowanie władzy i przywrócenie wschodniej granicy Rzeszy do stanu z roku 1914. Niepodległa Polska nie mieściła się więc w ich planach.

Polski biskup polowy Gawlina nie mogąc na początku wojny znaleźć zrozumienia w Kurii Rzymskiej zapytał papieża:

– Czy można z wysokości pięciuset metrów rozróżnić żołnierza od kobiety, pastuszków od wojska?

– Owszem można.

– Wobec tego lotnicy niemieccy, którzy bombardują kobiety i pastuszków, winni być karani indywidualnie za swoje zbrodnie. Nasza teologia moralna (...) przerzucą (...) odpowiedzialność, a tym samym konsekwencje na wodzów. Tymczasem dzieje się zbyt wiele zbrodni indywidualnych, których karanie jest tylko słuszne i sprawiedliwe.

Wiemy, że te – najpowszechniejsze – zbrodnie wojenne nie znalazły finału po wojnie przed trybunałem norymberskim, który sądził wybranych oficjeli i za zbrodnie „przeciwko ludzkości”. Rosjanie, jak ich niegdysiejsi niemieccy współnicy, nigdy nie żywili podobnych skrupułów,

zakaźnie chorych siostra pielęgniarka z urwaną częścią dłoni. Pobieglem do budynku położniczego, który był również zavalony. Wracając do głównego gmachu, natknąłem się na zwłoki dwóch zabitych. Sale – operacyjna i opatrunkowa – były w gruzach. Kazałem siostrom drzeć bieliznę i opatrzywać rannych. Matki i noworodki położyliśmy na furmanki i odesłaliśmy do Sieradza. Położna odebrała dwa porody w parku szpitalnym”.

Dwadzieścia dziewięć Junkersów kpt. Siegla pojawiło się nad Wieluniem 1 września 1939 roku o godzinie 4.35

Drugi nalot – na wschodnią część miasta – nastąpił pół godziny później. W trakcie trzeciego nalotu znowu został zaatakowany szpital. W sumie Niemcy, metodycznie, przez nikogo nie niepokojeni zrzucili na miasto 112 pięćdziesięciokilogramowych bomb burzących i 29 najcięższych bomb zapalających, o wadze pół tony każda. Wykonywali przy tym po raz pierwszy w warunkach bojowych lot nurkowy. Prócz szpitala obrócili w perzynę kościół farny, synagogę i zabytkowe budynki Starego Miasta.

Zniszczenia zabudowy miejskiej oszacowano na 75 procent, a straty w ludziach oceniono na około 1200 osób. Za śmierć cywili i zniszczenie miasta pozbawionego całkowicie znaczenia militarnego żaden ze sprawców nie poniósł odpowiedzialności. Płk Walter Siegel zginął w 1944 roku, major von Dalwigk zu Lichtenfels w roku 1940. Major Oskar Dinort, który po ataku na Wieluń chwalił się w niemieckiej prasie, że ostatnią bombę zrzucił prosto na rynek, został jako as lotniczy udekorowany Krzyżem Rycerskim. Po wojnie zamieszkał w Kolonii i zmarł w 1965 roku.

Piotr Korczyński

a zachodni alianci zapłacili Niemcom i Japończykom pięknym za nadobne. Dla wszystkich zaś liczyło się jak najszybsze ukończenie zamierzonych kampanii, do którego miało prowadzić spopielenie całych miast, od pełnego mischlingów Wielunia po stolicę japońskich chrześcijan – Nagasaki. W roku 1943 Leonia Jabłonkówna, polska pisarka żydowskiego pochodzenia, zamieściła w prasie konspiracyjnej arcychrześcijańską *Modlitwę*:

*Za grób, co w słabnącym jak ulga
Pokusę w męczennych dniach święci –
– Zbarw, Panie, kobiety i dzieci
Z płonących pożarów Hamburga.*

*Za krzyż znieważony w kaplicach,
Za krzywdę cmentarnych popiołów –
– Zachowaj we wrażliwych stolicach
Strzeliste gotyckie kościoły.*

Był to jednak głos i na wyrost („mierz siły na zamiary”), i – odosobniony.

żur



Dwunastoletnia Kazimiera Kostewicz (Mika) nad ciałem swej starszej siostry Andzi, zabitej przez niemieckiego lotnika. Okolice cmentarza Powązkowskiego przy ulicy Tatarskiej na warszawskiej Woli, 14 września 1939. Zdjęcie Juliana Bryana

WARSZAWA PŁACZE

Na jednym z najbardziej przejmujących zdjęć z września 1939 roku fotograf uchwycił zrozpaczoną dziewczynkę pochylającą się nad zmasakrowanym ciałem swej starszej siostry leżącej na trawie.

Kobieta była ofiarą jednego z podniebnych rycerzy Hitlera, którzy nie przepuszczali żadnej okazji, by siać śmierć ze swych nowoczesnych maszyn.

Od pierwszych dni wojny jednym z głównych celów Luftwaffe stała się Warszawa. Dla niemieckiego dowództwa stolica Polski była twierdzą, gdyż stacjonowało w niej wojsko. Z tego też powodu – jak wyraził się gen. Johannes Blaskowitz – bombardowanie na oślep centrum ponadmilionowego miasta nie stanowiło zbrodni wojennej. Głównodowodzący lotnictwa niemieckiego, marszałek Herman Goering, planował atak na Warszawę, podobny do nalotu na Wieluń, ale te zamierzenia na szczęście pokrzyżowała mgła na wielu niemieckich lotniskach. W pierwszym tygodniu agresji niemieccy lotnicy nie mogli się pochwalić zbyt wieloma sukcesami nad miastem. Miało ono skuteczną obronę przeciwlotniczą, a nieba nad nim broniła jedna z najlepszych formacji polskiego lotnictwa – Brygada Pościgowa płk. Stefana Pawlikowskiego. Jednak 7 września została ona przesunięta na Lubelszczyznę, a dzień później pod stolicę Polski podeszły nieprzyjacielskie jednostki pancerne. Od tej chwili Niemcy zintensyfikowali naloty. I znowu niemieccy piloci udowodnili, że ich ulubionym celem są wyraźnie oznakowane Czerwonym Krzyżem szpitale i kościoły. W krwawą niedzielę 17 września na osobiste polecenie Hitlera lotnictwo wspólnie z artylerią niszczyło symbole Warszawy – bomby spadły między innymi na Zamek Królewski, katedrę Świętego Jana na Starym Mieście i Teatr Narodowy. Dowodem na to, że Luftwaffe przywiązywała rolę do świąt religijnych, by spotęgować ofiary, jest nalot na dzielnicę żydowską 22–23 września, czyli w dniach

święta Jom Kippur. Jednak najgorsze dopiero było przed warszawiakami.

25 września 1939 roku o godzinie 7.10 rano obserwator z posterunku obrony przeciwlotniczej na dachu Państwowego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych przy ulicy Kopernika dostrzegł nadlatującą falę bombowców. Chwilę później nad Warszawą rozpętało się piekło. Przez dwanaście godzin 1200 niemieckich bombowców – fala za falą – zrzuciło na stolicę blisko 630 ton bomb burzących i zapalających. W mieście wybuchło ponad dwieście pożarów. Niemcy nie oszczędzali placówek medycznych – między innymi w szpitalu Świętego Ducha bomby zraniły siedmiuset pacjentów, z których większość zmarła. Płonęły główne ulice Śródmieścia – Nowy Świat, Marszałkowska, Królewska, Chmielna... „Ciemno było”, wspominał doktor Ludwik Hirszfild – od dymu pożarów i sadzy, domy się chwiały i waliły. Ludzie jak w obłędzie biegali od domu do domu, ze schronu do schronu. Na ulicach zabici, ranni, konie obok ludzi. Tak chyba wyglądać będzie koniec świata”. Nie dość tego, gdyż jak zanotował włoski korespondent wojenny: „lotnictwo obrzucało bombami barykady i ostrzeliwało z karabinów maszynowych barykady na ulicach. Zdarzyło się po raz pierwszy w historii wojen, że samoloty walczyły z barykadami”. Przy okazji Luftwaffe zbombardowało pozycje własnej piechoty na północno-zachodnich przedmieściach, co wywołało tak ostrą kłótnię między dowództwami armii i lotnictwa, że musiał interweniować sam Führer. W czarny lub lany poniedziałek, jak z przekąsem nazywali ten dzień warszawiacy, zginęło dziesięć tysięcy ludzi, a 35 tysięcy odniosło rany.

Piotr Korczyński

AMERYKAŃSKI REPORTER W OBLĘŻONEJ WARSZAWIE



Bryan z Kazimierą chwilę po wykonaniu zdjęcia

Julien Bryan był znanym amerykańskim reporterem, zajmującym się dokumentowaniem życia codziennego ludzi na całym świecie. Latem 1939 roku przebywał w Rumunii. Gdy dowiedział się o wybuchu wojny, natychmiast wsiadł w pociąg i ruszył z Bukaresztu do Warszawy. Dotarł do stolicy Polski w ostatniej chwili, 7 września. Pozostał tu dwa tygodnie, a owocem jego pracy było ponad sześć godzin taśmy filmowej i siedemset zdjęć. W 1940 roku zmontował na ich podstawie głośny film dokumentalny *Oblężenie*. Z Warszawy na falach Polskiego Radia poprosił prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta o pomoc dla mieszkańców stolicy Polski ginących pod niemieckimi bombami. Kilka z jego zdjęć znalazło się ówczesnie na czołówkach światowych gazet, wchodząc na stałe do historii polskiej fotografii wojennej. 14 września, w czasie wyjazdu na północne przedmieścia stolicy, w okolicach cmentarza Powązkowskiego, zaczął fotografować zwłoki zabitych w nalocie ludzi. Wspominał następnie:

„Kiedy fotografowałem ciała, przybiegła dziesięcioletnia dziewczynka i jak sparaliżowana stanęła nad jedną z zabitych. Kobieta była jej starszą siostrą. Dziecko nigdy dotąd nie widziało śmierci i nie mogło zrozumieć, dlaczego siostra się do niej nie odzywa. – Co się stało! – krzyknęła. A potem pochyliła się, dotknęła twarzy martwej dziewczyny i cofnęła się z przerażeniem.

– Och, moja piękna siostró! – załkała. – Co oni z tobą zrobili! Jesteś taka brzydka!

A po paru sekundach:

– Proszę, odezwij się do mnie! Proszę, proszę! Co się ze mną stanie bez ciebie!

Dziecko spojrzało na nas oszołomione. Objąłem ją ramieniem i przytuliłem mocno, usiłując pocieszyć. Płakała. Płakałem i ja, płakali również dwaj oficerowie, którzy mi towarzyszyli. Co my, czy ktokolwiek, mogliśmy powiedzieć temu dziecku?”

Dziewczynką tą, która, jak się okazało, przeżyła wojnę, była Kazimiera Kostewicz. Odnaleźli się dzięki ogłoszeniu, które zamieścił Bryan w roku 1958 w warszawskim „Expressie Wieczornym”, szukając bohaterów swych zdjęć z oblężenia stolicy.

żur



Żołnierze polscy pod Kockiem

KOCK

OSTATNIA BITWA

rozegrała się między 2 a 5 października 1939 roku. Stoczyły ją oddziały wchodzące w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” dowodzonej przez gen. bryg. Franciszka Kleeberga.



Gdy w marcu 1939 roku polski Sztab Główny określał strukturę ugrupowania bojowego Wojska Polskiego, w planie operacyjnym „Z” próżno było szukać związku operacyjnego noszącego nazwę SGO „Polesie”. SGO „Polesie” była improwizowanym związkiem operacyjnym, który powstał z potrzeby chwili, w jednym z kulminacyjnych punktów kampanii 1939 roku, z nadwyżek rezerwistów oraz ochotników skupionych w ośrodkach zapasowych rozwinętych na terenie Okręgu Korpusu IX, czyli na Polesiu. Warto przypomnieć, że wielkie jednostki stacjonujące w tym okręgu – 9, 20 i 30 Dywizja Piechoty (DP) oraz Nowogródzka Brygada Kawalerii (BK) – zmobilizowano w ramach mobilizacji alarmowej ogłoszonej 23 marca 1939 roku jako pierwsze w Wojsku Polskim, a latem przewieziono w rejon operacyjnego rozwinięcia. Na Polesiu pozostały wyłącznie ich ośrodki zapasowe, a ponadto flotylla rzeczna na Prypeci i oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP).

Gdy pękła obrona na linii Narwi

W drugim tygodniu kampanii 1939 roku pękła polska obrona na linii rzeki Narew, a oddziały niemieckie znajdowały się już pod Lwowem i Warszawą. Wkrótce czołowe elementy niemieckiego XIX Korpusu Armijnego gen. Heinza Guderiana podeszły pod twierdzę Brześć nad Bugiem, której broniły oddziały gen. Konstantego Plisowskiego. Dopiero 16 września 1939 roku Naczelny Wódz marszałek Edward Śmigły-Rydz wydał dowódcy Okręgu Korpusu IX gen. Franciszkowi Kleebergowi rozkaz do obrony Polesia, w celu osłony od północy obszaru tzw. przedmościa rumuńskiego. Następnego dnia gen. Kleeberg wydał rozkaz dla czterech zgrupowań taktycznych, które już wcześniej utworzył z oddziałów rozmieszczonych na Polesiu – „Kobryń”, „Drohiczyń Poleski”, „Jasiodła” oraz ze Zgrupowania Korpusu Ochrony Pogranicza i Marynarki Wojennej. W tym czasie Dowództwo Okręgu Korpusu IX kończyło proces przekształcania się z organu terytorialno-administracyjnego zajmującego się sprawami mobilizacji, administrowania rezerwami, zaopatrzeniem, oświatą i problematyką bezpieczeństwa wojsk w organ dowodzenia wojskami w polu.

Jednocześnie zarysował się kolejny punkt kulminacyjny kampanii – 17 września rozpoczęła się bowiem agresja sowiecka. To spowodowało, że w następnych dniach zgrupowania taktyczne podporządkowane gen. Kleebergowi zmuszone były prowadzić działania opóźniające przeciwko zarówno oddziałom niemieckim w rejonie Kobrynia, gdzie opór stawiało Zgrupowanie „Kobryń”, jak i przeciwko oddziałom sowieckim próbującym wtargnąć na Polesie, gdzie ciężar walk z armią sowiecką spoczywał na oddziałach Brygady KOP „Polesie” oraz Flotylli Rzecznej, nazywanej niekiedy flotyllą pińską. Gen. Kleebergowi 19 września podporządkowały się resztki Podlaskiej Brygady Kawalerii dowodzonej przez gen. bryg. Ludwika Kmicic-Skrzyńskiego.

Utworzenie SGO „Polesie”

Mając na uwadze niekorzystną zmianę położenia, 20 września nad ranem gen. Kleeberg wydał rozkaz odwrotu na południe, w rejon pomiędzy Kowlem a Włodawą. W trakcie tego odwrotu, równoległe do toczonych walk z czołowymi elementami

wojsk sowieckich, nastąpiła reorganizacja dotychczasowych zgrupowań taktycznych. Zgrupowanie „Kobryń” płk. Adama Eplera, którego trzon stanowił Ośrodek Zapasowy 30 Dywizji Piechoty, przekształciło się w 60 Dywizję Piechoty „Kobryń”, a wykorzystując zgrupowanie „Drohiczyń Poleski”, powstałe z Ośrodka Zapasowego 20 Dywizji Piechoty, utworzono 50 Dywizję Piechoty „Brzoza”, której dowództwo objął płk w st. spocz. Ottokar Brzoza-Brzezina. W dniach 25–27 września wojska gen. Kleeberga przekroczyły Bug w rejonie Włodawy. Dysponując takimi siłami, 27 września o godz. 17.00 gen. Kleeberg wydał rozkaz organizacyjny L.1/27/Op. o utworzeniu SGO „Polesie” i jednocześnie potwierdził artykułowany już wcześniej zamiar marszu na Warszawę. W tym celu już poprzedniego dnia 50 DP rozpoczęła marsz w kierunku Parczewa. Gen. Kleebergowi 29 września podporządkowało się Zgrupowanie Kawalerii „Zaza”, nazwane tak od przydomka dowódcy Suwalskiej Brygady Kawalerii gen. bryg. Zygmunta Podhorskiego, a składające się z Suwalskiej BK i części Podlaskiej BK. Sam generał podległe siły określał jako zgrupowanie „Zaza”, a później jako Grupę „Zaza”. Termin Dywizja Kawalerii „Zaza”, który pojawił się w historiografii polskiej, był określeniem na wyrost. W tym momencie całość sił SGO „Polesie” można było szacować na ok. 18 tys. żołnierzy – 27 batalionów piechoty (pułków kawalerii), 38 dział polowych i 35 działek przeciwpancernych.

W tych dniach Podlaska BK opóźniała oddziały sowieckie próbujące nacierać na kierunku Wisznice – Jabłoń, co oznaczało, że przeciwnik ten znalazł się w odległości ponad 30 km na zachód od Bugu i usiłował przeciąć w rejonie Parczewa kierunek marszu SGO „Polesie”. W walki z tym przeciwnikiem zaangażowały się również oddziały 60 DP „Kobryń”.

Pierwsze walki z nowym przeciwnikiem

Zamiarem gen. Kleeberga było, aby 1 października 1939 roku nastąpiło przemieszczenie SGO „Polesie” w rejon pomiędzy Radzyniem Podlaskim, Kockiem i Wojcieszkowem, co ogłosił w rozkazie operacyjnym L.4/30/Op. wydanym 30 września o godz. 13.00. Tymczasem wykrycie niemieckich pododdziałów rozpoznawczych prowadzących działania rozpoznawcze na północ od Kocka spowodowało, że w godzinach wieczornych pierwotna koncepcja uległa zmianie. Główną osi działania SGO „Polesie” stał się kierunek Cze-

mierniki – Borki – Wola Ossowicka. Na południe od tej osi Grupa „Zaza” miała związać walką niemieckie elementy rozpoznawcze, a jednocześnie opanować rejon Wola Gułowska, Leonardów oraz Talczyń, Tereba, Ruda. Jednocześnie 50 DP „Brzoza” miała połowę oddziałów przemieścić w rejon Talczyń. Zamiarem gen. Kleeberga było osiągnięcie rejonu Radoryż Kościelny, Okrzeja, Adamów, Wola Gułowska. Następnego dnia Grupa „Zaza” miała prowadzić działania rozpoznawcze na kierunku Ryki – Dęblin – Maciejowice, a 50 DP „Brzoza” w kierunku na Kock i Łysoboki.

W tym położeniu 2 października doszło do serii walk spotkaniowych pomiędzy Kockiem na wschodzie a Wolą Gułowską na zachodzie z oddziałami niemieckiej 13 Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej (DPZmot) dowodzonej przez gen. Paula Otto z XIV Korpusu Armijnego gen. Gustawa von Wietersheima, która liczyła wówczas ok. 16 tys. żołnierzy i była uzbrojona w 30 samochodów pancernych, 68 dział polowych i 63 działka przeciwpancerne. Oddziały niemieckie przemieszczały się z zachodu w kierunku Kocka. Punkt ciężkości tych walk stanowił rejon wsi Serokomla, który był broniony przez Brygadę Kawalerii „Plis” płk. Kazimierza Plisowskiego z Grupy „Zaza”. Aktywna obrona polska, charakteryzująca się dobrze przeprowadzonymi kontratakami, odrzuciła kolejne natarcia niemieckiego III batalionu 93 pułku piechoty 13 DPZmot. Jednocześnie w rejonie Talczyń, Kocka oddziały 50 DP „Brzoza” zatrzymały natarcie przeciwnika, biorąc do niewoli ok. 200 jeńców i zdobywając ważne dokumenty, w tym mapę z naniesionymi kierunkami niemieckiego natarcia. W tym czasie Podlaska BK ubezpieczała siły główne SGO „Polesie” w rejonie Radoryża Kościelnego, Krzywdy, a 60 DP „Kobryń” kontynuowała przemieszczanie na kierunku: Borki – Wola Ossowicka – Wojcieszków – Horodzieszka.

Zgrupowanie ppłk. Kazimierza Gorzkowskiego, składające się z trzech batalionów 50 DP „Brzoza” oraz BK „Edward” płk. Edwarda Milewskiego z Grupy „Zaza” z rejonu Serokomla, Józefów, 3 października w godzinach przedpołudniowych wykonało natarcie na Charlejew broniony przez niemiecki 33 pułk piechoty. W celu ubezpieczenia tego natarcia od wschodu kolejny batalion 50 DP „Brzoza” nacierał na kierunku Kock – Poisdów. Natarcie główne powiodło się tylko częściowo, obezwładniono baterię niemieckiej artylerii, jednak nie zdołano



Celowniczy ręcznego karabinu maszynowego wz. 1928. Strzelec posiada nowe umundurowanie sukienne wprowadzane od 1936 roku, w tym spodnie z owijaczami. Na głowie hełm wz. 1931. Ładownice brezentowe do rkm wz. 1928 mieściły zapasowe magazynki do rkm. W Inianej torbie noszonej przez lewe ramię znajduje się maska wz. 1932.



Dowódca SGO „Polesie” gen. bryg. Franciszek Kleeberg podczas kapitulacji, 6 października 1939 roku

opanować pośredniego obiektu natarcia – wsi Poznań, a tym bardziej obiektu głównego – Charlejewą.

Napoleoński sposób prowadzenia bitwy

Wówczas gen. Kleeberg podjął decyzję zrealizowania pierwotnego zamiaru i ześrodkowania sił głównych w rejonie kompleksu leśnego pomiędzy Adamowem, Horodzieszką i Wolą Gułowską. W tym celu oddziały 60 DP „Kobryń” miały ubezpieczyć ten rejon od zachodu. Zgrupowanie Kawalerii „Zaza” miało rozwinąć system obrony w rejonie Grabów Szlachecki, Lipiny, Helenów, Wola Gułowska, Czarna. Był to rejon kluczowy dla powodzenia działań SGO „Polesie”, rozciągniętej pomiędzy Grabowem Szlacheckim a Kockiem. Oddziały BK „Plis” zostały złuzowane w rejonie Serokomli przez improwizowane bataliony piechoty „Olek” i „Wilk” składające się z żołnierzy z różnych oddziałów, w tym marynarzy flotyli rzecznej. Natomiast 50 DP „Brzoza” miała zerwać styczność bojową z przeciwnikiem i nocnym marszem osiągnąć rejon Adamów, Burzec, Krzywda, a po odtworzeniu zdolności bojowej przygotować obronę tego rejonu.

Myślą przewodnią gen. Kleeberga było wykonanie manewru po liniach wewnętrznych w celu rozegrania walki zgodnie z napoleońskim sposobem prowadzenia bitwy. Gen. Kleeberg oceniał, że Grupa „Zaza” dysponowała potencjałem, który umożliwiał zarówno utrzymanie rejonu Woli Gułowskiej, jak i użycie jego części w natarciu, które miało rozciąć ugrupowanie niemieckiej 13 DPZmot w rejonie styku centrum jej ugrupowania bojowego ze skrzydłem, które znajdowało się najbliższej spodziewanej drogi odwrotu. Niestety ocena gen. Kleeberga była nazbyt optymistyczna. Utrzymanie rejonu pomiędzy Grabowem Szlacheckim a Czarną, czyli pasa o szerokości 12 km, wymagało znacznych sił, co spowodowało, że Grupa „Zaza” zmuszona była do przyjęcia rozciągniętego, płytkiego ugrupowania kordonowego, bez odwodu. Płaski teren nie sprzyjał organizacji obrony, a jedyną przeszkodą terenową stanowiła wąska rzeczka Czarna. Co prawda tego dnia w komunikacie niemieckiego Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu można było przeczytać, że 13 DPZmot: „odpiera głównymi siłami natarcie polskiego związku wszystkich rodzajów broni pod Kockiem i na północny

OSTATNI ROZKAZ

Z dalekiego Polesia, znad Narwi, z jednostek, które się oparły w Kowlu demoralizacji – zebrałem Was pod swoją komendą, by walczyć do końca. Chciałem iść najpierw na południe – gdy to się stało niemożliwe – nieść pomoc Warszawie. Warszawa padła, nim doszliśmy. Mimo to nie straciliśmy nadziei i walczyliśmy dalej, najpierw z bolszewikami, następnie w 5-dniowej bitwie pod Serokomlą z Niemcami. Wykazaliście hart i odwagę w czasie zwątpień i dochowaliście wierności Ojczyźnie do końca. Dziś jesteśmy otoczeni, a amunicja i żywność są na wyczerpaniu. Dalsza walka nie rokuje nadziei, a tylko rozleje krew żołnierską, która jeszcze przydać się może. Przywilejem dowódcy jest brać odpowiedzialność na siebie. Dziś biorę ją w tej najcięższej chwili – każąc zaprzestać dalszej bezcelowej walki, by nie przelewać krwi żołnierskiej nadaremnie. Dziękuję Wam za Wasze męstwo i Waszą karę, wiem, że staniecie, gdy będziecie potrzebni. Jeszcze Polska nie zginęła! Powyższy rozkaz przeczytać przed frontem wszystkich oddziałów.

Dowódca SGO „Polesie”
(-) Kleeberg

Gen. Franciszek Kleeberg
w niewoli niemieckiej



zachód od niego. Walki jeszcze nie zakończone”, jednakże porównanie potencjałów obu walczących stron wskazywało na rosnącą przewagę wojsk niemieckich, tym bardziej, że z kierunku północno-zachodniego zbliżały się czołowe elementy niemieckiej 29 DPZmot dowodzonej przez gen. Joachima Lemelsena.

Punkt ciężkości zmagania 4 października przesunął się w rejon Woli Gułowskiej, gdzie w godzinach przedpołudniowych pododdziały niemieckiego 66 pułku piechoty 13 DPZmot wykonały uderzenie na kierunku Charlejew – Budziska – Wola Gułowska, dążąc do rozcięcia ugrupowania bojowego Grupy „Zaza”. Oddziały niemieckie uwikły się w walki o kolonię Zarzecze, gdzie rozmieszczono jako ubezpieczenie bojowe szwadron 2 pułku ułanów grochowskich. Pomimo dobrego wykorzystania wszystkich przedmiotów terenowych do organizacji obrony przewaga niemiecka spowodowała, że pododdział ten pod naciskiem przeciwnika musiał opuścić Zarzecze i wycofał się do Woli Gułowskiej. Wówczas piechota niemiecka, korzystając z silnego wsparcia ciężkiej broni maszynowej i artylerii polowej, przekroczyła wąską i płytką tego lata rzeczka Czarna i wdarła się w zabudowania Woli Gułowskiej, łamując się w ugrupowanie BK „Plis”. W wielu miejscach doszło do walki na bagnety. Pododdziały niemieckie opanowały kościół w Woli Gułowskiej, a następnie cmentarz położony 700 m na zachód, już we wsi Turzystwo. Zdołano także wyprzeć z zajmowanych stanowisk pododdziały 5 pułku ułanów Zasławskich, które broniły wschodniej części wsi. Ok. godz. 13.00 rozpoczął się polski kontratak, który doprowadził do opanowania cmentarza. Jego kontynuowanie było utrudnione ze względu na ogień niemieckiej artylerii, którym wycofujący się w stronę kościoła Niemcy odgradzili się od Polaków. Dopiero w godzinach wieczornych na kierunek Turzystwo – Wola Gułowska wprowadzone zostały bataliony 60 DP „Kobryń”, które złuzowały pododdziały

BK „Plis”. Niestety zaporą ogniową niemieckiej artylerii pomiędzy cmentarzem a kościołem uniemożliwiała kontynuowanie kontrataku.

Tego dnia oddziały 50 DP „Brzoza” osiągnęły rejon Adamów, Burzec, Krzywda. Niestety bataliony tej dywizji zostały zmuszone niemalże z marszu zająć rejon obrony i przygotować system obrony, ponieważ elementy rozpoznawcze przeciwnika zdołały rozpoznać to przemieszczenie i prowadziły aktywne działania rozpoznawcze, chcąc przeniknąć w ugrupowanie bojowe dywizji. W ślad za nimi nadciągały pododdziały 66 pułku piechoty 13 DPZmot. W tym czasie Podlaska BK, 3 pułk strzelców konnych z Grupy „Zaza” oraz kawaleria dywizyjna 60 DP „Kobryń” stoczyły wiele walk z elementami rozpoznawczymi niemieckiej 29 DPZmot.

Natarcie 60 DP „Kobryń”

Wieczorem gen. Kleeberg przeprowadził odprawę z dowódcami wielkich jednostek, na której podał plan walki na następny dzień. Zamierzał on rozciąć ugrupowanie bojowe niemieckiej 13 DPZmot i bić przeciwnika częściami niszcząc kolejne zgrupowania taktyczne. W tym celu 60 DP „Kobryń” wzmocniona BK „Edward” otrzymała zadanie wykonania natarcia na kierunku Helenów – Talczyn, a jednocześnie przecięcia linii komunikacyjnych przeciwnika w rejonie Łysoboki.

Pododdziały niemieckiego 66 pułku piechoty 13 DPZmot 5 października ok. godz. 8.00 rozpoczęły natarcie na rejon obrony oddziałów 50 DP „Brzoza” i BK „Plis” pomiędzy Konorzatką a Adamowem. W toku ciężkich walk pododdziały niemieckie zdołały opanować Adamów i Gułów, co pozwoliło wprowadzić do walki pododdziały prawoskrzydłowego 33 pułku piechoty, które rozwinęły natarcie na kierunku Wojcieszków – Burzec na lewe skrzydło 50 DP „Brzoza”. Pododdziały niemieckiego 66 pułku piechoty podjęły próbę oskrzydlenia obrony BK „Plis” oraz batalionów „Wilk” i „Olek”. Pomimo znacznej przewagi wroga strona polska utrzymała zajmowane pozycje, załamała natarcie lewoskrzydłowych sił głównych 13 DPZmot, uniemożliwiając ich manewr na lewe skrzydło 60 DP „Kobryń”. W tym czasie 50 DP „Brzoza” wykonała kontratak, który został przez przeciwnika odparty. W godzinach popołudniowych jeden z batalionów 60 DP „Kobryń” wykonał kontratak w celu poprawy położenia oddziałów BK „Plis”.

Działania przeciwnika wykorzystały bataliony 60 DP „Kobryń”, które w godzinach przedpołudniowych opanowały Wolę Gułowską, Helenów i Sobiska. Niemiecki III batalion 66 pułku piechoty 13 DPZmot zdołał kontratakiem odzyskać Sobiskę, lecz został zatrzymany na linii rzeki Czarna. Późnym popołudniem natarcie tego batalionu na Helenów załamało się, a bataliony 60 DP „Kobryń” opanowały Budziska. Natomiast BK „Edward” i batalion piechoty opanowały kolejno wsie: Niedźwiedź, Ferdynandów, Charlejew i Poznań, gdzie obezwładniono niemiecką artylerię na stanowiskach ogniowych. Niemiecki III batalion 66 pułku piechoty i I batalion 93 pułku piechoty



Oficer artylerii lekkiej w umundurowaniu polowym. Artyleria lekka w roku 1939 nie otrzymała stalowych hełmów, stąd na głowie oficera furażerka. Uzbrojenie stanowi pistolet wz. 1935 Vis kal. 9 x 19 mm. Na lewym boku skórzana torba polowa. Porucznik ma spodnie typu bryczesy noszone do wysokich butów do jazdy konnej potocznie zwanych „oficerkami”. Naszyte skórzane karwasze na spodniach oraz ostrogi przy butach świadczą o tym, że zajmuje etat oficera, dla którego przewidziano konia wierzchowego.

znalazły się w bardzo trudnym położeniu. Dowódca 13 DPZmot gen. Otto zmuszony był użyć swoich ostatnich odwodów – pododdziałów 4 batalionu pionierów oraz kompanii z 15 batalionu karabinów maszynowych.

W godzinach popołudniowych Podlaska BK w rejonie Wróblina, Radoryż Kościelny załamała natarcie 15 i 71 pułku piechoty 29 DPZmot. Zagrożona obejściem od południa w godzinach wieczornych zerwała styczność bojową z przeciwnikiem i odeszła na prawe skrzydło 60 DP „Kobryń”.

Efektom natarcia 60 DP „Kobryń” i BK „Edward” było rozcięcie ugrupowania niemieckiej 13 DPZmot, zadanie jej oddziałom dużych strat i wyjście na jej tyły. Ten niewątpliwie sukces został przekreślony meldunkiem kwatermistrza SGO „Polesie” ppłk. dypl. Kazimierza Stawiarzkiego o stanie zaopatrzenia – amunicja została wyczerpana, zabrakło także środków opatrunkowych, co spowodowało, że nie było szans na kontynuowanie walki. Dodatkowo dowódca 50 DP „Brzoza” zameldował wieczorem, że jego oddziały następnego dnia nie będą zdolne do walki.

Dokończenie na następnej stronie

Dokończenie ze strony 15

Po sukcesie kapitulacja

W związku z tym w nocy z 5 na 6 października 1939 roku zapadła decyzja o kapitulacji. Dowódca Grupy „Zaza” gen. Podhorski początkowo odmówił kapitulacji i chciał przebiegać się na południe, jednak pod wpływem meldunków o stanie oddziałów zmienił decyzję. Możliwość prowadzenia przez kawalerię dalszych działań wzbudziła duży niepokój Niemców. Próbę przebiecia się podjął jedynie 3 pułk strzelców konnych dowodzony przez ppłk. dypl. Jana Małysia, jednak został rozbity w nocnej zasadzce w rejonie wsi Kalinowy Dół.

Wojska SGO „Polesie” skapitulowały 6 października 1939 r. Do niewoli oddało się 1255 oficerów, w tym czterech generałów, 15 605 podoficerów i szeregowców – razem 16 860 żołnierzy. Stronie niemieckiej przekazano 20 dział, 205 karabinów maszynowych, 10 200 karabinów i karabinków, 5000 koni oraz

54 samochody. Polskie straty bezpowrotne, które zdołano ustalić, wynosiły 324 zabitych, w tym 66 oficerów i podchorążych; ponadto 20 żołnierzy zmarło z ran w szpitalu w Radomiu. Nigdy nie określono liczby rannych. Straty niemieckiej 13 DPZmot wynosiły 82 zabitych (w tym ośmiu oficerów), 242 rannych (w tym 10 oficerów) oraz 191 zaginionych (w tym czterech oficerów). Gen. Kleeberg w czasie pożegnania z dowódcą 60 DP „Kobryń” płk. Eplerem powiedział: „Nic sobie nie mamy do zarzucenia. Zachowaliśmy honor żołnierski do końca. Kiedyś, gdy Ojczyzna zażąda od nas rachunku, będziemy mogli odpowiedzieć na każde pytanie”. Wydał też swój ostatni rozkaz do żołnierzy SGO „Polesie”.

Przez cały okres PRL-u był on fałszowany przez władze komunistyczne, które starały się ukryć przed narodem polskim prawdę o sowieckiej agresji w 1939 roku.

Dlatego cenzura usunęła ostatnią część trzeciego akapitu rozkazu zaczynającą się od słów „najpierw z bolszewikami”. Oceniając bitwę pod Kockiem z wojskowego punktu widzenia, podkreślić należy, że gen. Kleeberg konsekwentnie dążył do zrealizowania postawionego celu – rozbicia 13 DPZmot. W wytworzonym położeniu nieustannie dążył do zapewnienia swoim wojskom swobody działania. Działania SGO „Polesie” charakteryzowały się aktywnością, czyli nieustannym dążeniem do narzucenia swojej woli przeciwnikowi. Cały czas poszukiwano optymalnego położenia wojsk własnych w stosunku do przeciwnika, realizując w ten sposób zasadę manewrowości. Była to zarazem droga do realizacji zasady koncentracji wysiłku i ekonomii sił. Działania SGO „Polesie” stanowiły zaskoczenie dla przeciwnika – Niemcy pod Serokomlą 2 października byli przekonani, że napo-

tkali oddziały sowieckie. W całej bitwie niezwykle istotną rolę odegrało Zgrupowanie Kawalerii „Zaza”, co zgodnie podkreślają do dziś wszyscy żyjący uczestnicy tych walk. Zwracali na to uwagę również Niemcy, stanowczo domagając się zapewnienia, że kawaleria polska również złoży broń 6 października 1939 roku. Dla niemieckiej 13 DPZmot walki toczono od 2 do 6 października 1939 roku. W dzienniku wojennym dywizji zapisano, że oddziały polskie „dzielnie walczyły w najważniejszym znaczeniu tego słowa”. Niemiecki historyk tego związku taktycznego nazwał je „bardzo ciężką i poważną próbą wytrzymałości” w obliczu przeciwnika, którego cechował „zdumiewający duch bojowy”.

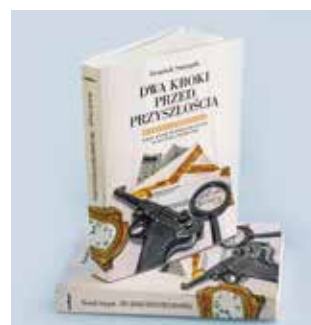
*Juliusz S. Tym, płk dr hab. prof. nadzw.,
dyrektor Instytutu Historii Wojskowej
w Akademii Sztuki Wojennej.*

**PROGRAM
„ZWIASTUN”**

Od ponad dwóch lat Polska Fundacja Narodowa realizuje program edukacyjny „Zwiastun”, skierowany do żołnierzy NATO stacjonujących w Polsce. „Program ma pokazać Polskę jako nowoczesny, bezpieczny kraj, który cały czas się rozwija, ale pamięta również o swoich dziejach”, zapewnia Cezary Andrzej Jurkiewicz, członek zarządu PFN. W ramach programu Fundacja zorganizowała liczne wykłady i wyjazdy edukacyjne. Wzięło w nich udział kilka tysięcy żołnierzy, którzy podkreślają, że dzięki temu poznają Polskę z wielu stron. „To cenna opinia, ponieważ po powrocie do swoich krajów, ci ludzie będą naturalnymi ambasadami Polski”, dodaje Jurkiewicz.

PFN wciąż rozwija „Zwiastun”. W kolejnych miesiącach planuje m.in. organizację koncertu moniuszkowskiego oraz wykłady poświęcone gen. Ryszardowi Kuklińskiemu i żołnierzom niezłomnym. W planach jest także objęcie programem żołnierzy w pozostałych garnizonach, nie tylko w Orzyszu.

Więcej o programie można przeczytać w lipcowym wydaniu miesięcznika „Polska Zbrojna”.

**ZAPAL ZNICZ
ŻOŁNIERZOM
WRZEŚNIA***Pamięć o nich
w Twoich rękach***Przyłącz się do naszej akcji! Więcej na www.polska-zbrojna.pl****WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY****Darmowa
wysyłka****NASZE KSIĄŻKI KUPISZ W SKLEPIE
INTERNETOWYM**sklep.polska-zbrojna.pl**W SPRZEDAŻY
SALONY EMPIK
POCZTA POLSKA
KOLPORTER
RELAY
INMEDIO****POLSKA
ZBROJNA****HISTORIA
POLSKA
ZBROJNA****wiw**

Mecenasi wydania

**POLSKA
FUNDACJA
NARODOWA****PGZ**
POLSKA GRUPA ZBROJNIOWA**POLSKA
SPÓŁKA GAZOWNICTWA**

Projekt zrealizowany pod redakcją Anny Putkiewicz
Redakcja merytoryczna: Jacek Żurek
Opracowanie graficzne: Marcin Izdebski
Redakcja i korekta: Januarey Szustakowski
Współpraca: Piotr Korczyński

Wykorzystano teksty i zdjęcia publikowane w kwartalniku „Polska Zbrojna. Historia”,
w miesięczniku „Polska Zbrojna” i na portalu polska-zbrojna.pl

Ilustracje: rysunki – Jarosław Wróbel, opisy: Paweł Rożdżestwieński

Grafiki: Paweł Kępka

Zdjęcia: archiwum rodziny Pyrków, Julien Bryan/IPN, Piotr Korczyński, Muzeum Historyczne
Miasta Gdańska, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Narodowe Archiwum Cyfrowe,
Cezary Pomykało

Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne sp. z o.o., ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa
Dyrektor: Maciej Podczaski
Miesięcznik „Polska Zbrojna”
Redaktor naczelny: Izabela Borańska-Chmielewska

Portal www.polska-zbrojna.pl
Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”
Redaktor naczelny: Anna Putkiewicz
WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL
SKLEP.POLSKA-ZBROJNA.PL

Partner wydania

**PRZYSTANEK
HISTORIA**
Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki